NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 24 marca 1906 r. Nr. 12.

Mankietnicy mordują!

(Tekst na stronie 2).



Mankietnicy mordują!

(Do illustracyi tytułowej).

W miasteczku Strykowie koło Zgierza pod Łodzią miała się odbyć w niedzielę instalacya świeżo mianowanego proboszcza ks. Wieczorka na miejsce dotychczasowego ks. Jarosińskiego — Maryawity. Na ten zapowiedziany akt przybyło wielu prawowiernych katolików z Łodzi i okolic Strykowa, którzy przyłączyli się do licznego grona parafian miejscowych. Dowiedzieli się o tych przygotowaniach mankietnicy. Od rana zapełnił się kościół, a kto przybył za późno i nie mógł się wewnątrz pomieścić, zostawał na dworze; to też przed świątynią stanęły tłumy. Wtedy zjawił się ks. Pągowski, należący do sekty maryawickiej, odprawił mszę w kościele, poczem w kazaniu swojem zachęcał zgromadzonych do samoobrony. Wśród tego, nie wiedząc podobno nic o zamiarach mankietników, przyjechał do Strykowa ks. Wieczorek. Prawowierni chcieli go wprowadzić do kościoła, ale gdy mankietnicy stawili zacięty opór, nowy proboszcz cofnął się i odjechał zaraz do Warszawy. Parafianie udali się do ks. Jarosińskiego, który zaczął ich uspokajać, zwłaszcza zaś przestrzegał przed bójką. Między tłumem zauważono już liczną gromadę tercyarzy, przybyłych umyślnie z Łodzi. Prawowierni katolicy ruszyli wtedy szosą w kierunku Zgierza z zamiarem powrotu do domu, gdy wtem natknęli się na tłumy ludzi, nadciągających do Strykowa, a uzbrojonych w kije, kosy, cepy, siekiery, kłonice itp. Byli to mankietnicy, a liczba ich ogromna rosła jeszcze z każdą chwilą. Mankietnicy zaczęli bić prawowiernych, a napadnięci, tembardziej, że byli nieprzygotowani i znajdowali się w mniejszości, rzucili się w popłochu do ucieczki. Część schroniła się do przydrożnej herbaciarni, gdzie właścicielka zamknęła zaraz lokal zewnątrz oraz drzwi od strony podwórza, zatarasowawszy je bilardem. W ten sposób zabarykadowani wewnątrz herbaciarni, bronili się przed napastnikami dość długo. Mankietnicy nie mogąc tedy zdobyć herbaciarni, wpadli na szalony pomysł. Podnieśli alarm na pożar, bijąc w dzwony. Nadbiegła straż ogniowa — zdaniem jednych, nie zoryentowała się widocznie w sytuacyi, skoro polegając na informacyach mankietników, jakoby pożar wynikł wewnątrz zamkniętej herbaciarni, rozpoczęła akcyę ratunkową od rąbania dachu i sufitu; według innych zaś, strażacy byli w zmowie z mankietnikami, którzy tylko na to czekali, żeby przez otwory w suficie lać wodę, rzucać kamieniami a nawet dawać strzały. Wewnątrz, kto mógł, chował się pod stoły i ławy, krył się za piecem, za szafami, pod bilardem i kanapami. Ale mankietnicy w ślad za strażakami zaczęli przez sufit spuszczać się do pokojów zamkniętych i wraz z członkami straży ogniowej wszczęli istną rzeź morderczą; wywlekali z pod stołów, z pod kanap ukrytych i toporami strażackimi, siekierami, cepami bili bez miłosierdzia. W herbaciarni panowała ciemność, gdyż światła pogaszono, a mordercom przyświecał latarką stróż kolejowy Wincenty Szklarek. Najstraszniej postępował znany awanturnik z Dobrej, Czesław Mardziewski, który, jak sam twierdził, zabił własnoręcznie trzech Łodzian. (Aresztowano go potem). Co się tam wogóle działo wewnątrz herbaciarni, świadczą kule we drzwiach i ścianach, kałuże krwi zakrzepłej, w których walały się szczątki połamanych stołów i stołków. Na miejscu zabili mankietnicy pięciu ludzi ze sfer robotniczych i rzemieślniczych, ranionych zaś było około trzydziestu, z tych siedmiu ciężko pokaleczonych wywleczono z herbaciarni i zamknięto w miejscowym areszcie. Rozbestwienie tłumu doszło do takiego napięcia, iż według świadectwa wiarygodnych osób, kopano trupy i znęcano się nad nimi w najhaniebniejszy sposób, a do rannych nie dopuszczano felczera i nie dozwolono im nawet podać wody. Dopiero nazajutrz po przybyciu władz nałożono pięciu opatrunki i odwieziono ich koleją do Łodzi do szpitala, dwóch zaś niestety już do trupiarni — wraz z pięciu tamtymi, którzy na miejscu zginęli, zamordowani przez fanatyków z sekty mankietników.



Tragedye nadbałtyckie: Obława na rewolucyonistów w lasach na Inflantach polskich.

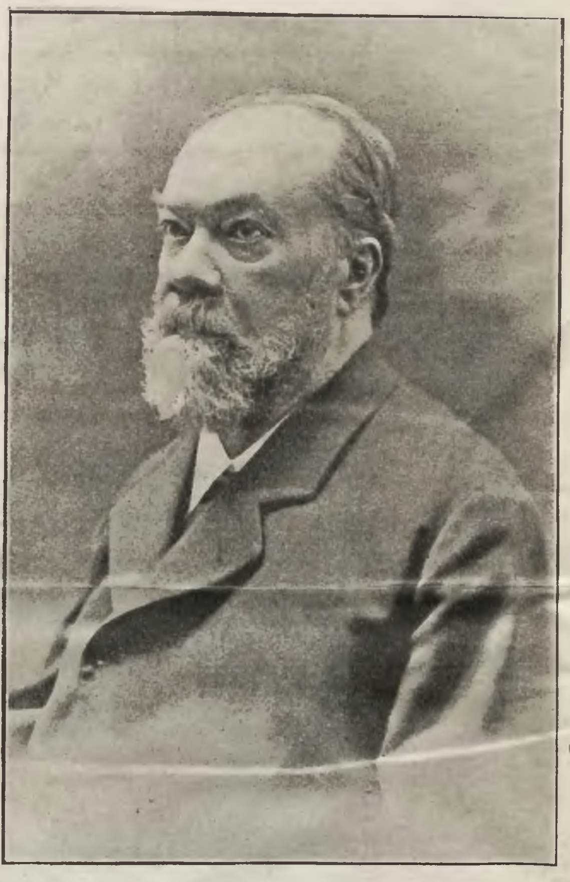


Kto rządzi Rosyą: Prezydent ministrów rosyjskich, Sergiusz hr. Witte.

Wielki parlamentarzysta.

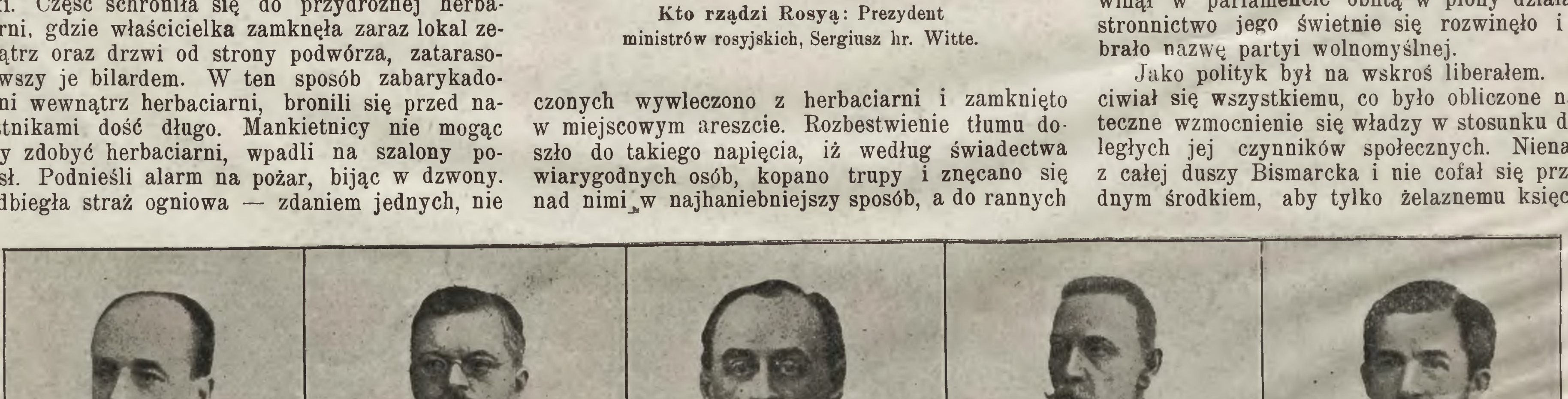
W ubiegłym tygodniu zmarł w Berlinie znakomity przywódca partyi wolnomyślnej, nieubłagany przeciwnik Bismarcka, Eugeniusz Richter. Była to postać, w parlamencie Rzeszy powszechnym ciesząca się szacunkiem, dzięki szczerości i uczciwości poglądów, jakie w swych mowach rozwijał. Przemawiał on nieraz w kwestyach polskich, wywierając zawsze głębokie wrażenie.

Eugeniusz Richter, którego portret zamieszczamy w dzisiejszym numerze, urodził się w roku 1838 w Düsseldorfie. Napotkawszy zaraz w początkach swej działalności obywatelskiej na rozmaite przeszkody ze strony władz, porzucił służbę rządową i zaczął pracować jako polityk. W roku 1871 wybrany został posłem na sejm pruski i do parlamentu Rzeszy i wkrótce zyskał sobie sławę znakomitego mówcy i doskonałego, fachowego znawcy finansowej i ekonomicznej gospodarki państwowej. Wybrany przywódcą stronnictwa postępowego, rozwinął w parlamencie obfitą w plony działalność; stronnictwo jego świetnie się rozwinęło i przybrało nazwę partyi wolnomyślnej.



Wielki parlamentarzysta: Śp. Eugeniusz Richter, znakomity poseł i przywódca partyi wolnomyślnej w Niemczech, nieubłagany wróg Bismarka.

Jako polityk był na wskroś liberałem. Sprzeciwiał się wszystkiemu, co było obliczone na zbyteczne wzmocnienie się władzy w stosunku do podległych jej czynników społecznych. Nienawidził z całej duszy Bismarcka i nie cofał się przed żadnym środkiem, aby tylko żelaznemu księciu do-



W. hr. Lamsdorf, minister spraw zagranicznych. | Generał A. Rödiger, minister wojny. | M. br. Fredericks, minister domu cesarskiego. | Wiceadmirał Birylew, minister marynarki. | C. Durnowo, minister spraw wewnętrznych.

Kto rządzi Rosyą: Ministrowie rosyjscy w gabinecie hr. Wittego.

kuczyć i osłabić go. W tym celu łączył się nawet z partyami, których był zasadniczym przeciwnikiem, np. z konserwatystami i socyalistami. Nareszcie w roku 1884 udało mu się stworzyć w parlamencie większość, wrogą Bismarckowi.

Pomimo spóźnionego wieku Richter brał do ostatnich chwil życia energiczny udział w pracach parlamentu. Przemówienia jego w parlamencie, odznaczające się gryzącym dowcipem, były zawsze politycznym wypadkiem dnia. Widział jednak w końcu, że ideały jego nie znajdują posłuchu, że coraz bardziej jest samotnym, bo szowinizm narodowy i ubóstwianie państwa jako regulatora społecznych potrzeb, wzięło górę nad liberalnymi jego poglądami. Hasła swoje rozwijał więc sędziwy parlamentarzysta na szpaltach założonego przez siebie w roku 1885 wielkiego politycznego dziennika „Freisinnige Zeitung“. To było pociechą w późnej starości tego parlamentarzysty z krwi i kości.

W sejmie berlińskim uczczono pamięć posła Richtera w sposób zaiście niezwykły. Krzesło jego puste ozdobiono wieńcem laurowym, a jeden z kolegów wygłosił mowę pełną dla zmarłego pochwał i czci, na którą śp. Richter zasłużył i z naszej strony, okazując wobec nas zawsze gorące poczucie sprawiedliwości, tak rzadkie i niezwykłe w państwie siły przed prawem.

Kto rządzi Rosyą.

Od kilku miesięcy panuje w Rosyi reakcya na całej linii. Coraz to nowe objawy notują dzienniki co chwila. Oto okólnik do naczelników ziemskich, upoważniających ich, by przy wyborach „zapobiegali gwałtom stronnictw przeciwrządowych“, „tłomaczyli włościanom programy stronnictw, wykazując bezpodstawność takich, które dążą do reformy ustroju państwa“, „usuwali mówców, łudzących włościan obietnicami nieziszczalnemi“ itd... Któżby się był tego wszystkiego spo-



Tragedye nadbałtyckie: Trupy rozstrzelanych rewolucyonistów, walające się bez pogrzebu po drogach na Inflantach polskich.

dziewał w październiku, w listopadzie. Wśród takich jednak warunków odbywają się przygotowania do wyborów, które mają utworzyć pierwszy parlament rosyjski. Toteż nie bez ciekawości zaczyna się Europa coraz bardziej zajmować rządem petersburskim, naprzeciw którego niebawem stanąć ma Duma państwowa. A interesują się wszyscy gabinetem hr. Wittego tem goręcej, ile że w jego łonie nastąpił w ostatnim czasie znamienny rozłam. Lewica jednak, do której należy zaledwie kilku postępowych ministrów, znajduje się w znacznej mniejszości. Z gabinetu usuwać się też zdają żywioły postępowe. Już dymisyę otrzymał minister Timirazjew, który nie krępuje się dziś wobec prasy niemieckiej i otwarcie głosi, że nie mógł pozostać w rządzie, gwałcącym zasady manifestu październikowego, że jest przeciwnikiem egzekucyj bez sądu, zsyłania przestępców politycznych na Syberyę setkami według widzimisię pewnych urzędników, a zwłaszcza że jest przeciwnikiem szafowanej dziś tak rozrzutnie kary śmierci. — Przebąkują teraz pisma o blizkiem usunięciu się ze stanowisk ks. Oboleńskiego, prokuratora Synodu i hr. Tołstoja, ministra oświaty, a pogłoskom tym nie zaprzecza nawet organ przyboczny hr. Wittego.

* * *

Zdaje nam się tedy, że Czytelników naszych zainteresuje w takiej chwili szereg portretów rządzących w Rosyi ministrów, wraz z prezydentem gabinetu hr. Wittem na czele. Ministrem spraw wewnętrznych, a więc właściwym rządcą państwa jest w tej chwili Durnowo, stojący na czele partyi reakcyjnej; tekę spraw zagranicznych dzierży dziś znany dyplomata Lamsdorf. Ministrem dworu cesarskiego jest baron Fredericks. Na czele ministerstwa wojny stoi generał Rödiger, w sprawach armii morskiej decyduje wiceadmirał Birylew, jako minister marynarki. Wydziałem komunikacyi zarządza Nemeszajew, kontrolorem państwa jest Filozofow. Doniosłe w burzliwych obecnie czasach czynności ministra sprawiedliwości pełni Akimow. Sprawami oświecenia publicznego zarządza jeszcze hr. Tołstoj, o którym wiadomo, że zamierza się z urzędu usunąć. Najmniej łatwe zadanie ma Szipow jako minister skarbu, wiadomo bowiem, jak ciężkie przesilenie przechodzi dziś Rosya pod względem finansowym.



Tragedye nadbałtyckie: Scena rozstrzelania rewolucyonistów łotewskich w lesie na Inflantach; zdjęcie migawkowe dokonane na miejscu egzekucyi o zmierzchu.

Tragedye nadbałtyckie.

W rosyjskich prowincyach nadbałtyckich w dalszym ciągu trwają straszne tragedye. Po Inflantach i Kurlandyi, po wsiach i miastach łotewskich i estońskich, przeciągają po dawnemu oddziały egzekucyjne karnych ekspedycyj, szukając śladów rewolucyi. Wojsko wpada do domów w miasteczkach i do chat włościańskich w wiejskich osadach i przetrząsa wszystko, dopóki nie natrafi na coś podejrzanego. Nie dość tego. Wojsko — jak widzimy na jednej z trzech rycin, tu zamieszczonych, a stanowiących reprodukcye z oryginalnych fotografij, zdjętych na miejscu — rewiduje szczegółowo lasy, ciągnące się tam na milowych gdzieniegdzie przestrzeniach, poszukując kryjących się w zaroślach tu i ówdzie rewolucyonistów, którzy jeszcze zbiedz zdołali szczęśliwie. W gęstwinie lasów inflanckich nie łatwo trafić na ukrytego w pojedynkę człowieka, a jednak wojsko odbywa obławę — jak na dzikiego zwierza. Śmierć czeka każdego, kogoby tam tylko nie znaleziono: już samo to, że się ukrywa, stanowi dla dowódcy ekspedycyi dowód jego winy; bez dalszego śledztwa zapada wyrok na rozstrzelanie. Jedną z tych codziennych niemal tyagedyi nadbałtyckich wyobraża nasza rycina. Jest to sam akt rozstrzelania rewolucyonistów wśród lasu — o zmroku. Migawkowe zdjęcie fotograficzne uwieczniło tę chwilę. A na obszarze prowincyj nadbałtyckich obrazów takich, pełnych grozy, można dziś napotkać setki. Toteż wszędzie po drogach walają się trupy rozstrzelanych Łotyszów i Estończyków, których — jak mamy dowód na naszej trzeciej fotografii — nawet nie zawsze grzebią po egzekucyi.



K. Nemeszajew, minister komunikacyi. | D. Filozofow, kontrolor państwa, | Hr. Tołstoj, minister oświecenia. | J. Szipow, minister finansów. | M. Akimow, min. sprawiedliwości.

Kto rządzi Rosyą: Ministrowie rosyjscy w gabinecie hr. Wittego.

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

43 (Dokończenie).

Wkrótce do sali restauracyjnej przyszli dwaj towarzysze, a gdy zasiedli przy ustronnym stoliku, rozmawiali dużo o przygodach w podróży, o Warszawie...

— Wy Aleksy Kiryłowiczu, serdeczny człowiek — mówił Jagłow — wypijmy jeszcze po kieliszku.

— Nie mogę... słaba u mnie głowa, ale wypijcie wy za siebie i za mnie, a przekąski tu dobre — wskazał na bufet.

Gdy Jagłow wstał, Żalecki szepnął szybko:

— Wyprawcie go do numeru, niech coś poszuka, przyniesie — naturalnym zaś głosem dodał — powiadam wam, Piotrze Antonowiczu, że cudo jakie kobiety tutaj.

Ten temat podchwycił Jagłow i zaczął się rozwodzić nad kobietami. Po pewnym czasie Araszewicz poprosił go, aby z jego torby lub też kuferka, bo nie jest pewny, przyniósł papierosy zawinięte w niebieskawy papier.

Żalecki nic nie mówiąc, podsunął nieznacznie Araszewiczowi rozkaz pułkownika, a sam poszedł do bufetu. Gdy wrócił, Araszewicz pobladły, oddając mu papier, rzekł głucho:

— Dziękuję... jeszcze jeden — westchnął — radźcie co robić? Nie znam miasta.

— A u was, co zrobilibyście?

— Zabiłbym — oczy mu się zaiskrzyły — i końce w wodę. Nikt mnie nie znajdzie tam.

— Ułatwię wam tutaj... Czy sami chcecie go ukarać, czy partya nasza?

— Tylko ja... On do mnie należy.

— Więc zabierzcie co macie najpotrzebniejszego w hotelu i ja zabiorę kuferek od portyera. Dam wam naszego towarzysza dorożkarza, we dwóch siądziecie, a wrócicie sami?

— Jak palec.

— Rozumiem... Dziękuję.

— A ostrożnie ze strzelaniną — szepnął Żalecki, widząc zbliżającego się Jagłowa.

— Nu, Piotrze Antonowiczu, szukał ja twoich papierosów i nie znalazł.

— Pójdę sam... Zaczekajcie...

Wrócił po kilkunastu minutach, potraktował papierosami i rzekł:

— Bywajcie mi zdrowi, Aleksieju Kiryłowiczu... Otrzymałem wiadomość pilną, pójdziemy z Fiodorem Michajłowiczem.

Jagłow spojrzał zdziwiony, i coś niemiłego ujrzał w twarzy, bo powiedział z lekkiem wahaniem:

— Dziś... Po tak ciężkiej podróży... Nie możnaby odłożyć na jutro?

— Chcecie, to zostańcie... ja idę.

— Hm... Pójdę z wami — westchnął.

* * *

W godzinę później wrócił Żalecki w towarzystwie Araszewicza do mieszkania Kozaka już bez Jagłowa. Sam go ostrzygł, ogolił, przebrał i tej samej nocy odbyła się narada.

Wielkie wrażenie na zebranych wywołało zawiadomienie Araszewicza, że strejk rozpoczynają w Petersburgu w dniu 16 stycznia.

Uchwalono zastosować się do Petersburga, i skoro hasło przyjdzie, dać znak do rozpoczęcia strejku.

Nad ranem Araszewicz, załatwiwszy swe sprawy, wyjechał z powrotem, obawiano się bowiem, że skoro żandarmerya i policya dowiedzą się o zabójstwie Jagłowa, rózciągną silny nadzór i delegat jeśli nie tu, to na dalszych stacyach mógłby dostać się w ręce przeciwników.

Olga dowiedziawszy się o bliskim wybuchu rewolucyi, tak przejęła się myślą służenia partyi, że mimo ostrzeżeń Żaleckiego, część broni przechowywała u siebie, w szafach bibliotecznych męża swej ciotki.

Zabójstwo Jagłowa wywołało wielkie wrażenie i zamieszanie pomiędzy żandarmeryą i policyą.

Bolcew też strzegł się starannie uwiadamiać kogokolwiek o zgubie papierów ze swej teczki.

Ta zguba przyprawiła go o silny rozstrój nerwowy i podnieciła jego podejrzliwość względem wszystkich, nie wyjmując podwładnych i przełożonych. O sztucznym zamku wiedziało tylko trzech ludzi: generał w Petersburgu, pułkownik żandarmeryi w Warszawie — i on.

Dokładnie pamiętał, że rozkaz otrzymany włożył w domu do teczki, następnie był na chwilę u Olesi i płaszcza nie zdejmował; poszedł do Sudkiewiczów, teczkę zostawił w przedpokoju, znalazł ją w tej samej kieszeni po półgodzinnej wizycie, i nie otwierając, pojechał do kancelaryi pułkownika. Teczkę w płaszczu zostawił w pokoju, w którym siedział wachmistrz zaufany i wierny sługa pułkownika, a gdy wrócił do siebie, znalazł teczkę pustą.

Papiery mógł zabrać tylko ktoś zaznajomiony z tajemnicą zameczka. Olesia nie mogła, bo miał płaszcz na sobie; u Sudkiewiczów obie panie były z nim w salonie, a Jana nie było w domu, gdyż pamięta, iż sam się rozbierał z płaszcza i ubierał przy wyjściu, zresztą u Sudkiewiczów nikt nie miał interesu w skradzeniu papierów; pozostaje tylko wachmistrz. Ten wyuczony przez pułkownika, mógł otworzyć teczkę, zabrać papiery; a zrobił to z polecenia pułkownika, który zazdrości jemu wpływu, powodzenia i uznania jego zasług przez generała w Petersburgu.

Swoje podejrzenie ukrywał jednak starannie, wierząc, że prędzej czy później sprawa się wyjaśni, rozkazał tylko pilnie śledzić wachmistrza.

W kilka dni po zabójstwie Jagłowa, pojawił się artykuł drukowany w tajnem piśmie socyalistycznem, w którym podano dosłowny rozkaz pułkownika na ręce rotmistrza Bolcewa w sprawie Araszewicza i Jagłowa, a następnie spis szpiegów pozostających na żołdzie żandarmskim. Obydwa artykuliki opatrzył Żalecki przypiskiem, że cenne te dokumenta znalazły się w ręku socyalistów, dzięki rotmistrzowi Bolcewowi.

Pułkownik przeczytawszy tę wiadomość, kazał natychmiast przyprowadzić do siebie rotmistrza. I zielony z pasyi rzekł do stojącego przed sobą, podając mu pismo:

— Przeczytaj pan.

Rotmistrz zbladł, ugięły się pod nim kolana i wybełkotał:

— Kłamstwo podłe... Denuncyacya.

— Rozkazuję panu przedłożyć mi natychmiast oryginał mego rozkazu.

— U mnie go niema — odpowiedział Bolcew, który już się opanował — zapewne jest u wachmistrza Agafieya Semenowicza.

— Co? — krzyknął zaczerwieniony pułkownik.

Bolcew jasno i spokojnie wyjaśnił swe uzasadnione podejrzenia.

— Wybieg niegodny pana — zaśmiał się drwiąco pułkownik — daję oficerskie słowo, że wachmistrz nigdy na oczy nie widział mojej teczki z tym samym zameczkiem, gdyż w niej przechowuję tylko moje prywatne tajemnice i mam ją tylko w swojem mieszkaniu.

— Mógł inny podpatrzeć — bronił się Bolcew.

— Nikt inny... i dlaczego składa pan winę na podwładnych, gdy tu — uderzył dłonią w rozłożoną gazetę — wyraźnie wydrukowano, iż to pan zdradziłeś tajemnicę państwową.

— Nie byłem w restauracyi... nie piłem.

— To śledztwo wykaże... a do czasu skazuję pana na areszt pokojowy, ani kroku z domu, do dalszych rozkazów — i nie patrząc na kłaniającego się rotmistrza, dał znak ręką, aby wyszedł.

Zostawszy sam, pułkownik napisał raport do Petersburga, załączył gazetę, i adjutantowi polecił objęcie służby po Bolcewie, a sam zajął się sprawdzeniem podejrzeń rotmistrza i wykryciem prawdy.

* * *

Nagle w dniu trzeciego stycznia rozeszła się nieoczekiwana wiadomość, że Port Artura poddał się w dniu wczorajszym z całą załogą i zapasami zwycięskim Japończykom.

Wzięto się więc gorączkowo do pracy organizacyjnej, i w myśl zapadłej uchwały, niecierpliwy Walczak pojechał do Częstochowy.

W kilka dni później Komar wyszukał Żaleckiego i rzekł:

— Otrzymałem dziś bardzo przykrą wiadomość... Walczak został zastrzelony podczas manifestacyi w Częstochowie.

— Co mówicie?... Czy możliwe?

— Dla nas szkoda i strata wielka — rzekł wzruszonym głosem Bolek — ale co będzie z Heleną? z dzieckiem?

— Na razie zaopiekuje się nią komitet, możecie rozporządzać nawet znaczniejszą kwotą, bo i ona była towarzyszką. Radzę wam, abyście wy zawiadomili ją o nieszczęściu... Zrobicie to ogledniej, aniżeli inny.

— Macie słuszność, pójdę do niej.

— A wiecie, Buczku, dzięki wam Bolcew jeszcze w śledztwie... Oddychamy swobodniej trochę.

— Tem lepiej dla nas — powiedział obojętnie, i poszedł w kierunku mieszkania Heleny.

Zastał ją usypiającą dziecko w kolebce. Dała mu z uśmiechem znak, aby nie budził dziecka i śpiewała przyjemnym, dźwięcznym głosem kołysankę:

„Luli synku, luli, luli“...

Żalecki stał spokojnie, i z głębokim smutkiem rozmyślał o zburzeniu tego cichego szczęścia domowego. Helena wydała mu się tak miłą, dobrą, piękną z tem macierzyństwem i tą cichą piosnką na ustach.

Wreszcie dziecko usnęło, skinęła na Bolka, aby się zbliżył do stołu pod oknem, a spojrzawszy baczniej na twarz jego, schwyciła jego rękę i szepnęła zatrwożona:

— Stach?!... Wiecie coś... Mówcie!

— Zginął...

— Stach!? — zawołała — to niemożliwe!

Żalecki milczał posępny.

— Mówcież!.. To nieprawda... wy zawsze żartujecie... powiedzcież, że to głupi żart.

— Heleno!...

— Już wiem... Stach zginął — mówiła tonem zupełnie jej obcym, na pół obłąkanym, z oczyma suchemi, błyszczącemi — tak... Zginął... I co teraz? Co?

Spojrzała na Bolka przytomniej i wyciągając rękę:

— Dziękuję, że przyszliście... Ale teraz zostawcie mnie samą... Idźcie!

— Pójdę... Tylko, Heleno, żadnych szaleństw... Wasza śmierć nic nie pomoże Stachowi, a zostawicie sierotą dziecko...

— Dziecko... Syn — spojrzała na kolebkę, i gdyby nie ramię Bolka, byłaby padła na podłogę.

Wziął omdlałą, ułożył na łóżku i zaczął cucić.

Odetchnęła głęboko, otworzyła oczy, a ujrzawszy Bolka, przypomniała sobie wiadomość, z którą przyszedł. Wybuchła spazmatycznem łkaniem i płaczem, wijąc się z bolu, szarpiąc rękami co jej popadło.

Bolek stał bezradny, wtem dziecko zbudzone zaczęło płakać; zaczął je chuśtać, a po chwili wziął na rękę i zaniósł Helenie. Na razie nie uważała, ale gdy jej podsunął bliżej, oprzytomniała z rozpaczy, odebrała dziecko i płacz jej stał się cichszym, równiejszym.

Bolek obawiał się porzucić Helenę samą i przemyśliwał nad sposobem zawezwania Olgi, gdy posłyszał ciche pukanie do drzwi i właśnie Olga weszła.

Szeptem powiedział jej o śmierci Walczaka i o postanowieniu komitetu przyjścia z pomocą Helenie. Pożegnawszy obie wzrokiem, wyszedł rozżalony i przygnębiony. Nie tak mu ciężyła nagła śmierć Walczaka, jak raczej rozpacz Heleny i jej ciernista przyszłość z malutkiem dzieckiem u boku.

Zniesławioną w oczach ludzi przeciętnych, odtrąconą przez rodzinę rozżaloną, bez środków do życia, czeka ją tylko ciężka praca w upokorzeniu i smutku.

XX.

Żalecki spotkawszy się z Olgą w dniu 26 stycznia, uwiadomił ją, że nazajutrz rozpocznie się strejk ogólny wszystkich robotników.

Oboje podnieceni, rozentuzyazmowani jutrzejszym dniem, nie rozstawali się ze sobą do późnego wieczora, dzieląc pracę, trudy, niebezpieczeństwa.

Lecz i żandarmerya i policya nie próżnowały w tych czasach. Otrzymano dokładne wieści o rozruchach petersburskich, i mimo przekonania wszystkich dygnitarzy, że Warszawa będzie spokojna i cicha, zarządzono środki ostrożności.

Bolcew dzięki wpływom wysoko postawionych osób, został zwolniony z aresztu pokojowego, ale zakres jego działalności został znacznie zmniejszony, na czem bardzo cierpiała jego duma i ambicya, to też ile mógł usuwał się od czynności i dobrowolnie przesiadywał w swym pokoju.

W dniu 26 stycznia posłyszał dzwonienie w przedpokoju, a ponieważ na razie nie było żandarma, sam poszedł otworzyć.

Trochę się zdziwił, gdy ujrzał Jana, a przypuszczając, że przynosi ważną wiadomość, kazał mu iść za sobą do swego gabinetu.

— Czy jest co nowego?

— Tak jest, wasze wysokobłagorodije.

— Czy dotyczy Olgi Aleksandrówny?

— Istotnie o nią idzie.

— Mów.

Jan wyprostował się i meldował:

— Od jakiegoś czasu, może od tygodnia, zauważyłem, że Olga Aleksandrówna zagląda często do gabinetu pana i coś majstruje około szaf. Po-

stanowiłem sprawdzić, i dziś, gdy zostałem sam w pokojach, dobrałem klucze, otworzyłem szafy. Zauważyłem w dolnych, zakrytych drzwiami, półkach nieporządek i kilkanaście paczek, których poprzednio nie widziałem. Wziąłem kilka na pokaz.

Sięgnął do kieszeni bocznej i podał zwój drukowanych kartek.

Bolcew spojrzał i aż pobladł ze wzruszenia, były to dawniejsze odezwy do tworzenia organizacyi, i nowsze, wśród nich nieznana mu jeszcze odezwa wzywająca do spokojnego i wytrwałego strejku.

Przejrzał, a widząc stojącego w tej samej pozycyi Jana, spytał:

— Czy prócz tego, były książki, broszury?

— Może i są... ale znalazłem rzeczy gorsze od druku, bo około sto rewolwerów i naboje...

Bolcew, który dotychczas siedział, wstał, zbliżył się do Jana, patrząc mu w oczy:

— Nie kłam... Czeka cię więzienie... Prawdę mów i to ścisłą.

— Przysięgam... Widziałem na własne oczy, a nie zabrałem żadnego w obawie, aby nie dostrzegła braku Olga Aleksandrówna, ptaszek mógłby ulecieć. Powtarzam, że jest tam ze sto rewolwerów i innej broni.

— Gdzie?

— We wszystkich trzech szafach, na dolnych półkach, za książkami.

Bolcew spojrzał na zegarek: wskazywał godzinę szóstą.

— Czy Olga Aleksandrówna będzie teraz w domu?

— Przypuszczam, bo dziś nie była na obiedzie... Możnaby zatelefonować.

Bolcew uśmiechnął się lekceważąco i rzekł do Jana:

— Rady schowaj dla siebie. Idź do mojej kuchni, ani słowa nikomu, rozumiesz?

— Słyszę.

Rotmistrz rozważał co zrobić? Czy skorzystać z odkrycia i zmusić Olgę do oddania mu swej ręki? Czy też postąpić z całą surowością prawa, zaaresztować i oddać do cytadeli?

W pierwszym wypadku urzeczywistniłyby się jego dążenia i pragnienia, posiadłby Olgę, ale bądź co bądź, żona byłaby z niej nieszczególna, i nie ona, lecz on zostawałby pod grozą, że popełnił wielkie nadużycie urzędowe. On musiałby być jej sługą i poddanym, musiałby na wszystkie jej zachcenia i fantazye pozwalać.

Jeśli postąpi w myśl przepisów, Olga dla niego, jako żona, jest niemożliwą. Może udałoby się przy wielkiej protekcyi ją uniewinnić, odsiedziałaby tylko więzienie, ale plama pozostałaby zawsze na niej, byłaby pod dozorem, notowana, a z taką, on żenić się nie może. Ale znów idąc za wskazówką obowiązku, on zmusi samego, niechętnego mu pułkownika do szacunku i poważania, gdyż wszyscy wiedzą o jego staraniu się o Olgę, a on nawet ukochaną kobietę poświęci dla dobra służby i państwa.

Już się zdecydował na uwiadomienie kancelaryi i znów nadpłynęła fala miłości do Olgi. Poczuł żal i smutek, że to właśnie on narazi ją na więzienie, kary, zwichnie całą jej przyszłość.

Postanowił odwlec chwilę decyzyi, aż do zobaczenia Olgi.

Przystąpił do telefonu i zażądał przysłania dwóch żandarmów z wachmistrzem.

Sam ubrał się w mundur służbowy, a gdy wachmistrz się zameldował, rozkazał:

— Pojedziesz z dwoma żandarmami śladem mojej dorożki. Gdy stanę, pojedziesz dalej i dla niepoznaki wysiądziesz opodal. Sam podejdziesz do mnie i otrzymasz wskazówki.

Janowi kazał siąść na koźle i pojechał do Sudkiewiczów.

Otworzyła mu Sabinka, trochę zdziwiona, że z wachmistrzem wszedł do przedpokoju, zostawiając przed drzwiami żandarma.

— Czy jest panna Olga? — spytał jak zwykle uprzejmie.

— Nie wiem.

— Zobacz — wskazał drzwi pokoju Olgi.

Posłuszna zapukała raz i drugi raz, ale nikt się nie odezwał, a drzwi były zamknięte na klucz.

— Zostaniesz tu — zwrócił się do wachmistrza — pilnuj tych drzwi. — Następnie spytał Sabinki po polsku: — Czy pani w domu?

— Jaśnie państwo w domu. Czy mam zameldować?

— Tak jest.

W salonie zastał tylko panią i po przywitaniu spytał o męża.

— Pierre dopiero co przebudził się. Czy nudzi się pan ze mną? — uśmiechnęła się zalotnie.

— Nigdy, proszę pani... Ale mam interes służbowy do pana Sudkiewicza.

— Służbowy? Czy mogę być obecna?

— I owszem... Pani jest potrzebna.

— To przyśpieszę ubieranie się tego śpiocha — zaśmiała się i wyszła.

Gdy wrócili oboje i wymienili kilka frazesów banalnych, rzekł Bolcew:

— Przychodzę w smutnej sprawie, ale obowiązki urzędu mego muszę wypełnić.

— O cóż idzie? — zdziwił się Sudkiewicz.

— W domu państwa uprawia się na szeroką skalę socyalizm antipaństwowy. Tu jest jedno ze źródeł ruchu przewrotowego i tu knują się wrogie, rewolucyjne dążenia przeciwpaństwowe.

Oboje pobledli, a Sudkiewicz wybełkotał:

— To niemożliwe... Ja?... Żona?... Nie, to pomyłka, to oszczerstwo.

— Niestety to prawda — westchnął rotmistrz — w pokoju pana jest skład odezw rewolucyjnych, może nawet drukarnia anarchistyczna, i w pokoju pana jest skład broni rewolucyjnej, rewolwery, a może i bomby.

Sudkiewicz blady oparł się o fotel, zwiesił głowę i milczał przerażony, ale pani miała czas odzyskać przytomność i rzekła energicznie:

— Podobne zbrodnicze posądzenia można wypowiadać, gdy się ma fakta. Proszę o najściślejszą rewizyę, jestem pewna, że nic się nie znajdzie, bo i ja i Pierre brzydzimy się wszelką rewolucyą.

— Ale nie panna Olga — uśmiechnął się rotmistrz — wierzę i jestem przekonany, że oboje państwo nie należeliście i nie należycie do spisku socyalistycznego, natomiast panna Olga działa za siebie i za was oboje.

— Fakta! Fakta! — zawołała pani.

— Zaraz... Niechże się pani uspokoi — wstał, otworzył drzwi do przedpokoju i rozkazał: — wachmistrz, czy masz wytrych ze sobą?

— Nie wziąłem.

— Panie Sudkiewicz, prosiłbym o klucze od szaf bibliotecznych.



Pod wpływem bolu ocknął się omdlały Żalecki, a widząc Olgę nad sobą, uśmiechnął się. Próbował podnieść się, lecz znów padł, syknąwszy z bolu. Dwóch przechodniów, widząc młodą i ładną kobietę, klęczącą przy rannym, zbliżyło się...

— Są u Olgi.

— W takim razie może pani zechce dać mi wsystkie klucze z domu... może dobierzemy.

Pani wyszła krokiem chwiejnym i poleciła Sabince zebranie kluczów, a sama usiadła w pokoju jadalnym.

Sabinka kładąc przed nią klucze, spytała szeptem:

— Czego szukają? Kogo aresztują?

W innym czasie zgromiłaby ją pani, ale wobec grozy położenia odpowiedziała:

— Mówią, że panna Olga socyalistką — wstała i poszła do salonu, a Sabinka pobiegła do pokoju pani i przyłożywszy ucho do drzwi, nasłuchiwała.

Rotmistrz odebrawszy klucze, zawołał wachmistrza, wręczył mu je i kazał dobrać klucze i otworzyć wszystkie trzy szafy.

— Pozwolę sobie przypomnieć pani — mówił rotmistrz spokojnie — że zwracałem uwagę pani na niewłaściwe towarzystwo panny Olgi... Miałem słuszność... Jeden z tych młodych ludzi okazał się bardzo niebezpiecznym agitatorem, a nawet pisywał, może i drukował „Wolność“.

— Nie przypuszczałam nigdy — odpowiedziała złamanym głosem.

— Obecnie zbiera pani owoce swej nieoględności... To sprawa bardzo poważna...

— I pan nie może uratować? Zapobiedz?

— Nie w mojej mocy...

— Wasze wysokobłagorodije, szafy już otwarte.

— Weź — rozkazał rotmistrz — ustawione tam paczki proklamacyi i przynieś.

Za chwilę zjawił się żandarm, położył na stole i czekał rozkazu.

— Przynieś rewolwery... ostrożnie bierz!

Gdy przyszedł i miał położyć na stole, zawołała przerażona pani:

— Zabierzcie! Zabierzcie! Może nabite!

— Uspokój się pani... Panna Olga ma silniejsze nerwy, sama przynosiła i chowała do szaf.

— Przynoś resztę — rozkazał.

Sabinka nie czekała, była dzieckiem warszawskiem i zrozumiała groźne położenie.

Pobiegła do kuchni, zastała tam kucharkę i Jana, rozmawiającego wesoło ze żandarmem.

Narzuciła szybko chustkę na głowę i chciała wyjść. Zatrzymał ją żandarm słowem:

— Nie lźa!

— Jaśnie pani słabo... Idę do apteki.

— Nie lźa!

— Puśćcie ją — rzekł ze śmiechem Jan — to głupie dziewczę, nic nie rozumie.

— Jeśli jaśnie pani kazała, to musi iść — zdecydowała kucharka i odsunęła żandarma, który wiedząc o częstych wizytach rotmistrza, zezwolił na wypuszczenie Sabinki.

Drżąca ze wzruszenia, blada, przerażona zbiegła na dół, odmawiając bezładnie modlitwę o ratunek.

Postanowiła bądź co bądź uprzedzić Olgę o wykryciu broni i proklamacyi.

Wiatr północny dął silny, niosąc ze sobą ostry śnieg i huczał zawieją po ulicach. W cienkiej chustce, w lekkiej spódnicy, w nadpsutych trzewikach, dygotała Sabinka ze zimna, ze strachu przed odkryciem swego zamysłu, ale mimo tego wypatrywała oczy, aby dojrzeć Olgę. Podbiegła do pędzącej dorożki, goniła za podobnemi z ruchu paniami, byle nie dopuścić Olgi do wejścia do kamienicy, widząc w bramie oświetlonej spacerującego stróża i domyśliła się, że on z rozkazu żandarmów pilnuje wejścia.

Nareszcie po przeszło godzinnem oczekiwaniu

gdy czuła, że siły jej słabną i zimno ją zmaga, dojrzała Olgę wracającą ze Żaleckim. Podbiegła uradowana i pochwyciwszy jej rękę, zawołała drżącym głosem:

— Ach panienko złota! Nareszcie doczekałam się... Myślałam już, że zginę.

— Cóż się stało, Sabinko?

Obejrzała się trwożliwie i ciągnąc Olgę ku ulicy Koziej, szepnęła:

— Panienko, przyszli żandarmi po panienkę.

Olga przystanęła bardziej zdziwiona, aniżeli zastraszona, i skinąwszy na Żaleckiego, aby się zbliżył, rzekła do niego:

— Wiecie, oni po mnie...

— Czy możliwe?!

— Tak jest — szeptała strwożonym głosem Sabinka: — w salonie siedzi rotmistrz Bolcew, przed drzwiami od schodów jeden żandarm, a od kuchni drugi. A jakiś brodacz, także żandarm, ze szaf jaśnie pana wyjął gazety i rewolwery.

— A więc rewizya w stylu wielkim — uśmiechnął się Bolek — i to z denuncyacyi.

— To tylko Jan zrobił, bo taki wesoły — dorzuciła Sabinka, po chwili: — jaśnie pani blada i zmartwiona, dobierali klucze... I powiedziała, że panienka socyalistka, ale to tylko tak oni mówią — usprawiedliwiała się — ja wiem, że panienka najprawdziwsza Polka i dobra katoliczka, ale nie jakaś tam socyalistka.

— Tak, tak, Sabinko... Dawno przyszli?

— Będzie chyba ze dwie godziny, bo ja już czekam na panienkę przeszło godzinę... I udało mi się, niechże panienka ucieka jak najdalej, bo straszna rzecz wpaść im w ręce, zwłaszcza dziewczynie.

— Prawda, Sabinko, i serdecznie ci dziękuję za wiadomość... Jak ja się tobie wywdzięczę, uratowałaś mi życie.

— E, co tam gadać — wzruszyła ramionami — od tego panienka Polka i katoliczka, jako i ja jestem, chociaż z prostego stanu.

— Dzielna z ciebie dziewczyna! — uścisnął jej rękę Bolek.

— Iii, każda z nas Warszawianek taka — zaśmiała się zadowolona.

— Ale jak się wyrwałaś Sabinko? — spytała Olga.

— Niby po lekarstwo dla jaśnie pani... Ale sama nie wiem, co przynieść?

— Weź pięć proszków bromowych i kropli laurowych za dziesięć kopiejek — zaśmiał się Bolek i wsunął jej pieniądze.

— Jak mam powiedzieć w aptece?

Bolek powtórzył i kończył:

— Dziękujemy ci, kochana... Może spotkamy się w życiu... Uratowałaś dwa życia, bo byłbym zginął dla panienki.

— Aha, rozumiem — zaśmiała się — ja się też coś domyślałam... Życzę też państwu młodym szczęścia, zdrowia i długiego życia... jakaż ja rada, że ten żandarm pójdzie z kwitkiem!

— I pójdzie napewno — zaśmiał się Bolek — ale teraz czas na nas. Chodźmy, Olgo, a tobie, Sabinko, serdeczne dzięki.

— Sabinko — ucałowała ją Olga — tyś mi najbliższą siostrą.

— Tyle ceremonii robi panienka — mówiła zmieszana Sabinka — i o takie głupstwo, które byle kto zrobi z naszych... Niechże panienka dobrze się ukryje i dziś wyjedzie, dobrze?

— Dziś, to nie... ale za dwa, trzy dni.

— Czy panienka żałuje sukien i bielizny? — zdziwiła się, — ale te można odesłać, a niechże Bóg broni, jeśli złapią... Szczęście do czasu.

— Masz słuszność Sabinko... Pojadę!

— Szczęśliwej drogi, i niech Najświętsza Panna z Częstochowy ma w opiece.

— Dziękuję Sabinko... Do widzenia!

— Byle w lepszych czasach — dokończyła Sabinka.

Bolek skinął na dorożkę, i wsiadłszy z Olgą, dał adres fryzyera Lipinka.

— Dlaczego tam jedziemy?

— On ma najlepsze farby do włosów, przecież nie możesz, Olgo, pokazywać się na ulicy, tak jak dziś.

— Najlepiej obciąć włosy — radziła Olga.

— Będziesz tem widoczniejsza, zwrócisz uwagę mnóstwa osób. Kupimy farbę, przekształcisz się w brunetkę i musisz zmienić strój.

— Teraz? Dziś?

— Naturalnie... Znam na Wareckiej magazyn używanych sukien i okryć. Wybierzesz podniszczony żakiet, niemodną spódnicę, kapelusz zeszłoroczny i pójdziemy jutro na miasto.

— Hm... Jeśli uważasz to za konieczne, zrobię tak, na szczęście dziś odebrałam pieniądze z poczty. Ojciec przysłał mi na karnawałowe wydatki sto rubli.

— Tem lepiej... Mam i ja trochę, ale bądź co bądź radzę ci oszczędność, żyjemy w niepewnych czasach.

Dorożka stanęła. Bolek kupił farbę potrzebną, następnie Olga wybrała używane rzeczy, a gdy wsiedli do dorożki, Bolek dał adres swego mieszkania.

— Nie gniewaj się, mój drogi — mówiła Olga tonem uniewinnienia i prośby — ale ja nie będę nocowała u ciebie.

— A to dlaczego? Boisz się?

— Boję... Pojdę do Heleny. Ty jesteś bardzo dobry i bardzo cię kocham... I właśnie nie chcę być z tobą.

— Nie rozumiem tego — rzekł podrażnionym głosem.

— Rozumiesz Bolku... — ucałowała go — i proszę cię bardzo... nie psujmy naszej miłości, nie narażajmy jej...

— To głupi przesąd — mruknął zły.

— Nie pamiętam już gdzie, ale czytałam, że miłość podobnie jak motyl, bez skrzydeł jest tylko robakiem. I nie gniećmy tych skrzydeł, mój dobry, mój kochany, bądź szlachetny.

— No, zmuszać nikogo nie myślę — i wychylając się z dorożki, zawołał złym głosem adres Heleny.

— Dziękuję ci, Bolku — ucałowała go — tem goręcej cię kocham. No, rozchmurz się, uśmiechnij się, bądź dobry.

— Nie chcę nim być, bo jestem zły.

— Bolku, ja będę pokorna, posłuszna, ale nie w chwili, gdy ciemna zasłona kryje nawet jutro. Żyjemy na wulkanie i nie możemy wiedzieć, czy za godzinę nie znajdziemy się w cytadeli lub pod szubienicą.

— Więc korzystajmy z chwili swobody — zawołał Bolek.

— Tak mówisz?... Helena korzystała także z chwili... A dziś?

— Prawda Olgo, masz słuszność — westchnął i pokornie ucałował jej rękę.

Dorożka stanęła przed mieszkaniem Heleny, a Bolek odprowadził ją do bramy:

— Jutro przyjdę zobaczyć, jak wyglądasz, a farbuj się bardzo starannie... Będę rano, dobrej nocy... Do widzenia.

W piątek już od samego rana stanęły większe fabryki, w których robotnicy byli dobrze zorganizowani.

Z polecenia komitetu do wszystkich mniejszych fabryk, pracowni, wysłano deputacyę bezbronną z wezwaniem, aby zaprzestano pracy.

A gdy nastał pełny dzień, wyznaczeni przez partyę robotnicy obeszli sklepy, urzędy, sklepiki, żądając zwolnienia wszystkich od pracy. Posłańcy, dorożki, tramwaje, wozy ciężarowe i podmiejskie zatrzymywano i zawracano.

Około godziny trzeciej ustał wszelki ruch kołowy, natomiast tłumy ludności napełniły ulice.

Ta nagła przerwa życia przeraziła wszystkie władze, a zwłaszcza policyę, która skromnie się zachowywała i o ile możności znikała z ulic.

Rząd wiedział, że robotnicy zaczną strejkować, ale był pewny, że większość znaczna mieszkańców, kupcy, handlujący, przedsiębiorcy, pozostaną obcy ruchowi, i tylko dzielnice robotnicze będą świętowały a może i manifestowały.

W sobotę po południu powaga strejku trwała w dzielnicach czysto chrześciańskich, a nastrój był pełen nadziei osiągnięcia pomyślnych rezultatów.

Nagle ta powaga chwili zaczęła się zamieniać na bezmyślną namiętność niszczenia lamp, aparatów, urządzeń miejskich i rzucania się na prywatne sklepy i składy.

Liczba zorganizowanych robotników okazała się za małą, bezsilną wobec napływających mętów społecznych, które tę chwilę wyzyskać chciały na swą zbrodniczą korzyść.

Męty wzięły górę. Ogół ludności odwrócił się ze wstrętem od rozbestwionych tłumów.

Może nikt boleśniej nad Bolka nie odczuł rozczarowania tej chwili.

On w ten strejk włożył całą swą energię, inteligencyę, duszę swoją, siebie samego, i oto stał na zgliszczach i pogruchotanych resztkach swych marzeń i nadziei.

Właśnie wszedł w ulicę Marszałkowską i patrzał chmurny i posępny na strzaskane szyby sklepowe, na zdeptane towary, powalone latarnie i w dali ujrzał ludzi unoszących we workach skradzione rzeczy, a twarze spotkane miały wyraz zaciekłości zwierzęcej i chytrości dzikiej bestyi.

Do jednego ze sklepów zaczęli się dobijać, podważać żelaznemi drągami drzwi i spuszczone żelazne żaluzye.

Skoczył, aby przeszkodzić rabunkowi, odtrącił silnie włamywacza...

Nagle dał się słyszeć gwizd ostry, cała hałastra poczęła się rozbiegać, gdyż był to umówiony znak zbliżania się wojska.

Gwizdnęły kule i Żalecki padł na ziemię, trzymając konwulsyjnie odebrany rabusiowi drąg żelazny.

W tej chwili dobiegła do tegoż miejsca Olga, uklękła przy Żaleckim, i widząc go leżącym bez ruchu i życia, podniosła w górę jego lewą rękę, gdyż leżała dziwnie wykrzywiona.

Pod wpływem bolu ocknął się omdlały, a widząc Olgę nad sobą, uśmiechnął się. Próbował podnieść się, lecz znów padł, syknąwszy z bólu.

— Zdaje się, że lewa ręka zgruchotana.

Dwóch przechodniów widząc młodą i ładną kobietę, klęczącą przy rannym, zbliżyło się; pomogli stanąć Żaleckiemu i krwawiącą rękę umieścili na przygodnym temblaku.

— Uciekajcie państwo — zawołał ktoś śpieszący obok — patrol nadchodzi.

Opierając się o ramię Olgi, poszedł zwolna Żalecki w ulicę Wspólną, przy której mieszkała Helena.

Otoczony najczulszą opieką Olgi i starannością doktora, już po kilku dniach mógł się przechadzać po pokoju i parł gwałtownie do wyjazdu z powodu możliwości odkrycia Olgi.

Wprawdzie ona wychodziła tylko wieczorami, okryta chustką, gdyż była zameldowana jako służąca Heleny, ale Żalecki, rozdrażniony wynikiem strejku i raną, nie miał ni dnia ni nocy spokojnej o Olgę.

Nareszcie tak dawno upragniony Komar zjawił się u Heleny, i po przywitaniu wręczył paszporty na wyjazd za granicę dla Olgi i Bolka.

— Komitet polecił mi wręczyć wam na koszta podróży i leczenia — wyjął pugilares z bocznej kieszeni — sumę...

— Wstrzymajcie się — zawołał, Żalecki chwytając go za rękę — pieniędzy przyjąć nie mogę i nie chcę.

— Ależ to komitet...

— Właśnie dlatego że komitet.

— Czyż macie tak dużo? — uśmiechnął się Komar.

— Mam nie wiele, ale tych pieniędzy nie chcę, nie pozwala mi na to uczciwość.

— Teraz ja was nie rozumiem. Oddaliście partyi bardzo wielkie przysługi, pracowaliście z narażeniem życia, a teraz gdy partya ceniąc wysoko waszą osobę, pragnie wam ułatwić wyzdrowienie... wy odrzucacie!

— Nie przyjmuję... bo nie należę już do waszej partyi.

W pokoju nastała cisza: o tem jego postanowieniu nie wiedziała ani Olga ani Helena.

— Wy!? Wy, Buczku!? — zdziwił się Komar.

— Nie mogę należeć. Ten strejk otworzył mi oczy, przejrzałem... Pamiętacie jak gorąco sprzeciwiałem się manifestacyi bezcelowej i bezskutecznej... Liczyłem na strejk, sądziłem, że porwiemy za sobą cały naród, chciałem mu nadać cechę narodową, wywiesić hasło wolności... sprzeciwiliście się w imię socyalizmu. Zdawało mi się jednak, że gdy naród zobaczy, jak silni jesteśmy, jak dobrze zorganizowani, jak karni, samą siłą ciążenia stanie przy nas i z nami. Stało się inaczej... I zostaliśmy odosobnieni, osamotnieni, a dzięki tłumowi rabusiów i złodziei... zhańbieni.

— Czyż to nasza wina? — zawołał z głębokim żalem Komar.

— Wina naszej wyłączności... Głosiliśmy walkę klasową, sialiśmy nienawiść do innych klas, wskazywaliśmy na konieczność zdobycia warsztatu pracy... źle nas zrozumiano. Gdybyśmy nie stali tak wyosobnieni, gdyby naród poparł nasz strejk, czy sądzicie, że możliwą byłaby grabież, rozbijanie sklepów, kradzież towarów. Bylibyśmy zgnietli i rozpędzili tę męty wielkomiejskie, ale nam nie dowierzano, nie ufano, bo nasze hasła nie są hasłem narodu...

— I cóż myślicie robić? — spytał Komar.

— Walczyć o wolność, ale nie w imię interesu klasy jednej, ale w imię wszystkich Polaków bez różnicy klas, przekonań, wyznania.

— Szanuję was i cenię... Ale z wami nie pójdę. Ślubowałem, że sprawa wyzyskiwanych będzie zawsze moją... i nie odstąpię ich. Bywajcie zdrowi — wstał Komar i podał rękę do uścisku — może się kiedyś spotkamy...

— Przy wspólnej pracy.

KONIEC.

Warszawscy redaktorowie pod sądem.

Nadążyć trudno coraz to nowym procesom wytaczanym redaktorom w Warszawie. Jednym z ostatnich jest b. redaktor dawnej „Gazety Handlowej“ p. Stanisław Aleksander Kempner, obecnie redaktor naczelny „Nowej Gazety“, dziennika stronnictwa postępowo-demokratycznego, którego



Warszawscy redaktorowie pod sądem: Stanisław Kempner, wybitny ekonomista, redaktor „Nowej Gazety“, jeden z kandydatów na posła z Warszawy.

patronem, uosobieniem i głową jest Aleksander Świętochowski, jak swego czasu był dla krakowskiej „Nowej Reformy“ śp. Adam Asnyk. P. Kempner pociągnięty jest do odpowiedzialności sądowej z § ustawy prasowej 129 a (obraza majestatu) za przedruk artykułu z pism rosyjskich. Po pierwszem przesłuchaniu śledczem pozostawiono p. Kempnera na wolnej stopie za kaucyą.

Indywidualność to wybitna i wiedzą i nauką. Urodzony w Kaliszu r. 1857, wcześnie poświęcił się publicystyce. Czynny zawsze brał udział w pracach ekonomicznych Towarzystwa przemysłu i handlu, gdzie był zawsze z uwagą i chętnie słuchany jako świetny prelegent, obdarzony darem wymowy połączonym z siłą przekonania. Zalety te obok wielkiego zasobu odwagi cywilnej wysunęły go w ostatnich czasach na czoło partyi, jako kandydata nie bez dużych szans na posła do Dumy państwowej z Warszawy; kwalifikuje go też do tego mandatu duża jego erudycya jako wybitnego ekonomisty.

W szeregu redaktorów pod sądem stanie też i Bolesław Koskowski z tytułu swego niedawnego jako odpowiedzialny redaktor „Gońca“, dziś „Pracy polskiej“, za przestępstwo popełnione opisem zajść między tłumem a komisarzem policyi. Publicysta to w całem tego słowa znaczeniu tęgi w piórze. Charakter to przytem nieugięty, czego dał dowód dwukrotnie na stanowisku redaktora „Gońca“ wobec jego wydawców, a specyalnie ordynata Zamoyskiego, nie zgodziwszy się na żadne ustępstwa od zasad dziennika, a tem mniej na odwołanie raz już zamieszczonego artykułu od redakcyi. Ustąpił też z „Gońca“ i zajął swe poprzednie stanowisko sekretarza red. „Gazety Polskiej“, na którem dał się poznać szerszym kołom. Koskowski (ur. 1870 r.) był zrazu współpracownikiem „Głosu“, potem sekretarzem „Kuryera warszawskiego“, na którem to stanowisku popadł w odpowiedzialność przed rządem, jako zastępujący redaktora, skutkiem czego zamieniono mu jego stanowisko na korespondenta berlińskiego. W stosunkach uprzejmy, w usposobieniu równy, zajęty zawsze pracą, cieszy się sympatyą kolegów, zaufaniem ogółu.

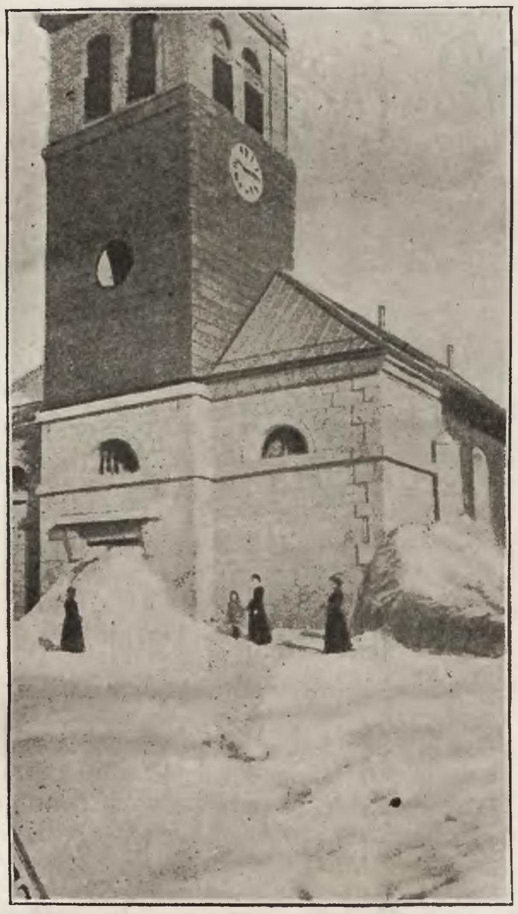
Bejot.



Warszawscy redaktorowie pod sądem: Bolesław Koskowski, znakomity publicysta, były redaktor „Gońca“.

Śnieg bronił kościoła.

Katolicy francuscy nie mogą sobie dać rady z wykonawcami rozporządzeń rządu paryskiego w sprawie inwentaryzacyi kościołów. Widząc w tem świętokradztwo, bronią, jak mogą, przystępu świeckim urzędnikom państwowym do swoich świątyń. Czytaliśmy już o wszelkiego rodzaju barykadach, jakie pobożni parafianie wznosili w bramach kościołów, lub jakiemi zatarasowywali wejścia do zakrystyj, gdzie komisya rządowa miała spisać naczynia i sprzęty poświęcone. Ale osobliwszy sposób, jak widzimy na naszej rycinie, znaleźli sobie mieszkańcy wioski Bellefontaine w departamencie



Śnieg bronił kościoła: W wiosce francuskiej parafianie obwarowali kościół śniegiem, żeby nie dopuścić do inwentaryzacyi.

Jura. Leży ona w górach na wysokości 1000 metrów, gdzie obecnie pokrył wszystko śnieg wysoki. Skorzystali z niego parafianie w dniu, w którym miała się do nich zjawić komisya inwentaryzacyjna. Urzędnicy przyjeżdżają i zastają kościółek wiejski dosłownie obwarowany śniegiem. Wszystkie wejścia zamurowano od wnętrza i na zewnątrz kopicami śniegu, wzmocnionemi jeszcze gałęźmi sosnowemi. Urzędnicy wobec tego musieli z niczem powrócić do najbliższego miasta. A na dowód, jak trwałe były fortyfikacye obronne, niech posłuży fakt, że kiedy po odjeździe komisyi, proboszcz chciał się dostać do kościoła, żeby odprawić nabożeństwo dziękczynne, musieli parafianie przez kilkanaście godzin pracować ciężko, żeby chociaż jedno wejście otworzyć, śnieg bowiem ubity twardo, zlodowaciał tymczasem na mrozie.

Polacy w stolicy Rosyi.

Zamieszczamy tu dziś reprodukcyę fotografii, przedstawiającej wnętrze sali bibliotecznej przy polskim kościele św. Katarzyny w Petersburgu w czasie zgromadzenia przedwyborczego, jakie niedawno odbyła tam kolonia polska w stolicy Rosyi, z okazyi zbliżających się wyborów do Dumy państwowej.

Przemawia właśnie do zebranych Franciszek



Polacy w stolicy Rosyi Przedwyborcze zgromadzenie kolonii polskiej w Petersburgu w sali bibliotecznej przy kościele św. Katarzyny, w czasie przemowy Franciszka Olszewskiego.



Pasterze trędowatych owieczek: Arcybiskup warszawski, ks. Chościak Popiel, w którego archidyecezyi szerzy się najbardziej ruch maryawicki.



Fot. Łukasz Szpak z Halicza.

Okręt utonął w Galicyi: Kosztowny parostatek salonowy „Łomnica“, który zatonął w Dniestrze w zamarzniętym porcie w Dubowcach koło Halicza.

Olszewski, wybitny działacz polityczny, adwokat przysięgły, od pewnego czasu nad Newą osiadły, a niegdyś trzęsący opinią publiczną w Warszawie, jako redaktor naczelny „Kuryera Warszawskiego“ (którego redakcyę opuścił, ożeniwszy się z Mirą Heler, słynną wówczas śpiewaczką operową, a siostrą dyrektora teatru lwowskiego, Ludwika Helera).

Na fotografii obok mówcy Olszewskiego widzimy, za stołem prezydyalnym siedzących, po lewej od widza: J. Łempickiego, M. Malhommea i dra Ziemackiego; za przemawiającym zaś prezesem Olszewskim w prawo od widza: Henryka Święcickiego, Bolesława Olszanowskiego i generała Al. Babiańskiego

Na tem zebraniu wybrano polski komitet wyborczy z 31 osób.

Przeciwko rasie białej.

Po piechocie i artyleryi, podajemy dziś w dalszym ciągu ryciny przedstawiające charakterystyczne grupy z nowoczesnej armii chińskiej, niemal już zeuropeizowanej, na którą bacznie zwracają uwagę w tej chwili w mocarstwach Europy i w Stanach Zjednoczonych w Ameryce.

A z Chin dochodzą ciągle niepokojące wieści. Prasa amerykańska podaje znów wiadomość o odkryciu w San Francisko kilku okrętów, które miały przewieść do Chin broń i amunicyę. W Waszyngtonie mówią z całą pewnością o gotujących się w Chinach ruchach zbrojnych, skierowanych głównie przeciwko rasie białej. Stany Zjednoczone mają tam najwięcej nieprzyjaciół. Nieprzychylne to usposobienie Chin wywołane zostało amerykańskim bilem immigracyjnym, którego znaczenie odczuli najboleśniej ubodzy kulisi, znajdujący dotąd stałe zatrudnienie w przemyśle amerykańskim. Chińczycy bojkotują zajadle towar Stanów Zjednoczonych. Podaż takiego towaru połączona tam jest wprost z niebezpieczeństwem życia. Obawy nowego powstania Bokserów podziela także poseł Stanów w Pekinie, mr. Conger; on jednak sądzi, że powstanie to skieruje się głównie przeciwko panującej dynastyi mandżurskiej.

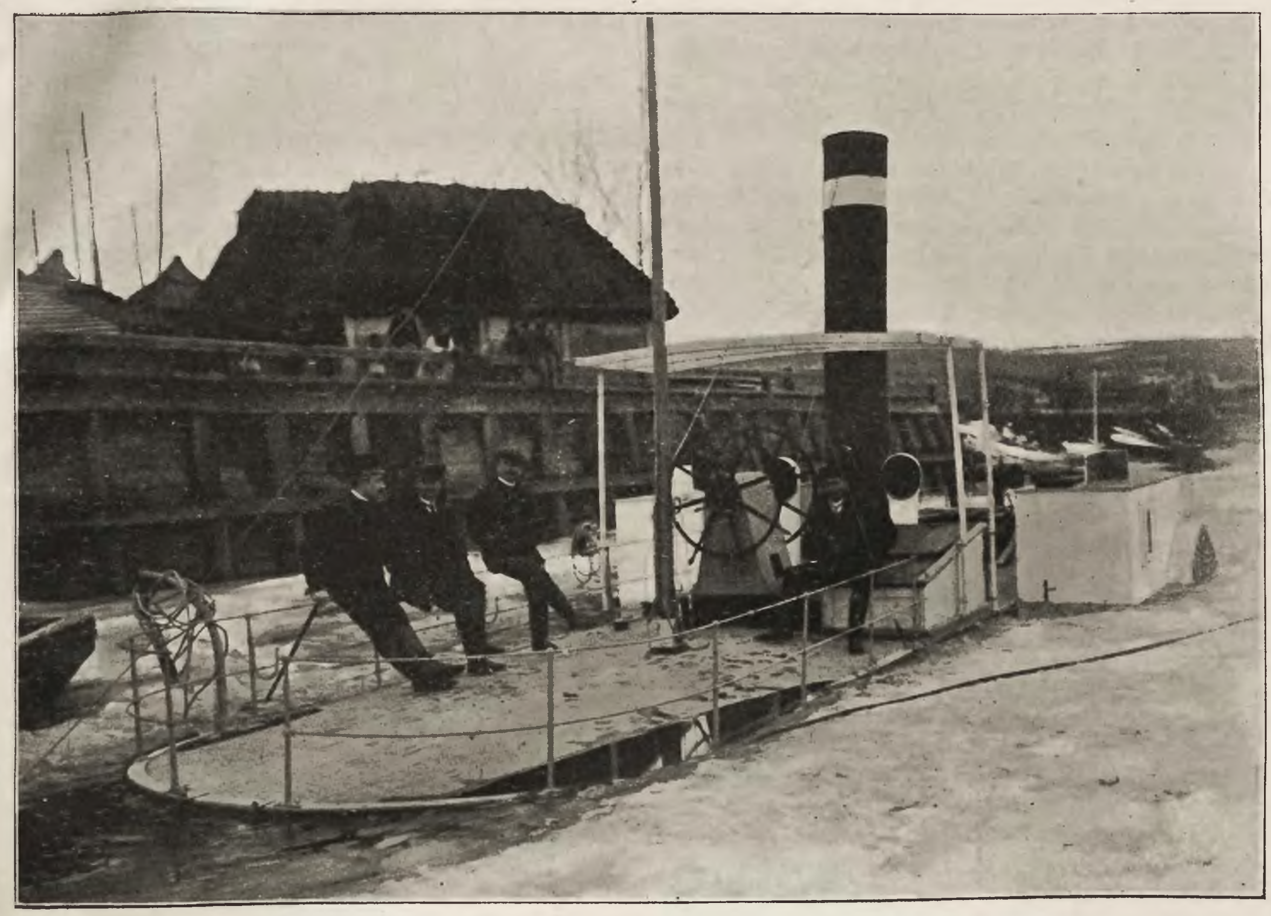
Okręt zatonął w Galicyi.

Niejeden Galicyanin nie wie nawet o tem, że my w kraju mamy i okręty i porty. Wprawdzie nie ma obawy, żeby Japończycy przyjechali zatapiać torpedami nasze statki, ale że mamy je w Galicyi — dowód najlepszy. skoro „Nowości“ mogą dziś podać fotografie galicyjskiego okrętu, który zatonął. Wypadek taki zdarzył się w Dubowcach koło Halicza na Dniestrze. W porcie dubowieckim stał, opancerzony blachą stalową, statek parowy „Łomnica“, śliczne cacko, „salonik“ pływający, przeznaczony dla dygnitarzy namiestnictwa do jazdy inspekcyjnej w sprawach regulacyi rzek. Kosztował bagatelkę — 100 tysięcy koron, a zbudowany został w Lincu.

Wprawdzie od chwili, gdy go w Dubowcach spuszczono na wodę, statek ten jeszcze się z miejsca nigdy nie ruszał, to jednak ma on już swoją historyę: w ciągu dwóch lat odbierało go już z urzędu kilka komisyj, ale nie odebrała go żadna, ponieważ zanurzał się o 4 cm. za głęboko. Widocznie czekanie zbyt długie sprzykrzyło się wreszcie pięknej „Łomnicy“,



Przeciwko rasie białej: Nowoczesna armia chińska, przez europejskich instruktorów przekształcona: grupa oddziału konnicy w czasie manewrów.



Fot. Łukasz Szpak z Halicza.

Okręt utonął w Galicyi: Kosztowny parostatek salonowy „Łomnica“, który utonął w Dniestrze w zamarzniętym porcie w Dubowcach koło Halicza.



Pasterze trędowatych owczarni: B. biskup płocki śp. ks. Szembek, w którego dyecezyi wziął początek ruch maryawicki.

która mimo, że na nią nie czyhały ni torpedy, ni łodzie podwodne, zanurzyła się aż po szyję i zniknęła pod powierzchnią wody. Dla jakich przyczyn statek zatonął, rzecz niepewna, fachowcy jednak wnioskują z różnych okoliczności, iż podczas opadu wody w Dniestrze, statek musiał być jedną stroną silniej przymarznięty do lodu, który opadając z wodą, pociągnął go zapewne jednym bokiem w dół, skutkiem czego woda dostała się przez okna do wnętrza salonu, pełnego zwierciadeł, złoceń, kobierców i gustownych mebli orzechowych, zielonym pluszem wybitych. Wszystko to dziś z pomocą drągów z linewkami wyciągają z dna portu dniestrzańskiego monterzy z Lincu, którzy po naprawkach gruntownych mają oddać „Łomnicę“ ponownie do użytku publicznego.

Pasterze trędowatych owczarni.

Trzej pasterze, pod których rządami w trzech dyecezyach Królestwa Polskiego wybuchła i rozszerzyła się sekta Maryawitów i odszczepieństwo od prawowitego Kościoła, to arcybiskup warszawski ks. Wincenty Chościak Popiel, biskup lubelski ks. Jaczewski i dawniejszy biskup płocki ks. Szembek, gdyż obecny ks. biskup Wnukowski, niedawno zasiadły na stolicy, zastał już sektę w rozwoju.

Najbardziej dotkniętą jest dyecezya warszawska, gdzie niedawno arcybiskup ks. Popiel zasuspendował 13 księży Maryawitów, a są to:

1) ks. Jan Kowalski. proboszcz parafii Sobótka, pow. łęczyckiego, 2) ks. Bolesław Wiechowicz, proboszcz parafii Cegłow, pow. nowomińskiego, 3) ks. Paweł Skolimowski, proboszcz par. Dobra, pow. łęczyckiego, 4) ks. Adam Furmanik, wikaryusz par. Szymanów, pow. Sochaczewskiego, 5) ks. Zenon Suchoński, wikaryusz par. Jeruzal, pow. skierniewickiego, 6) ks. Roman Gostyński, wikaryusz par. Wiskitki, pow. błońskiego, 7) ks. Józef Pągowski wikaryusz par. Zgierz, pow łódzkiego, 8) ks. Józef Szymanowski, wikaryusz par. Babice, pow. warszawskiego, 9) ks. Wawrzyniec Rostworowski, prob. par. Wiśniew, pow. węgrowskiego, 10) ks. Czesław Kahl, wik. par. Raszyn, pow. warszawskiego, 11) ks. Józef Poradowski, wik. par. Pszczonów, pow. łowickiego, 12) ks. Jan Kaczyński, prob. par. Lutkówka, pow. błońskiego i 13) ks. Siedlecki, kapelan osad rolnych w Studzieńcu.

Wymieniony na pierwszem miejscu ks. Jan Kowalski zasłużył sobie na to nie zaszczytne odszczególnienie dominującem stanowiskiem, jakie zajął wybrany generałem zgromadzenia Maryawitów. On to acz młody jeszcze, lecz jeden z najzdolniejszych wychowańców akademii duchownej. Stoi dziś na czele ruchu, który jak widzimy rozszerza się. *B-t.*

Nowy gabinet we Francyi.

Jest to cechą wszystkich prawie gabinetów francuskich że upadają zazwyczaj w połowie drogi do wytkniętego celu, — pozostawiając następcom dokończenie wszczętego przez się dzieła. Wystarczy cofnąć się nieco w tył, aby się o prawdziwości tego twierdzenia przekonać. Gabinet Waldeck-Rousseau powziął myśl ustawy antykongregacyjnej, która była wstępem do rozdziału Kościoła i państwa, lecz musiał się cofnąć przed jej przeprowadzeniem w Izbie posłów i ustąpić. Zadanie jego objął Combes, który dzieła dokonał i przystąpił do jego nieuniknionego dopełnienia, do zerwania z Watykanem, do rozdziału Kościoła i państwa Ale i on nie zdołał się utrzymać na stanowisku i dokończyć dzieła, które w znacznej części pchnął naprzód. Upadł i pozostawił Rouvier'owi przeprowadzenie ustawy o rozdziale. Rouvier posunął się daleko w swojem zadaniu, przeprowadził tę ustawę z energią, jakiejby mu niejeden mąż stanu mógł pozazdrościć, kazał spisywać inwentarze kościołów choćby przy wysadzaniu bram świątyń dynamitem, ale właśnie w chwili politycznej gorączki upadł.

Misyę utworzenia nowego gabinetu objął Jan Marya Ferdynand Sarrien, z którego portretem dziś zaznajamiamy Czytelników. Nowy szef gabinetu francuskiego liczy obecnie lat 66. Należy on do starej gwardyi polityków francuskich. Jest deputowanym od lat 30, posiada wiele rutyny i pracowitości. Od początku swej karyery politycznej należał do republikanów, choć w ostatnich czasach skłaniał się niejednokrotnie ku skrajnym radykałom. Sarrien był już sześć razy ministrem.

(Illustracya na stronie 14)



Przeciwko rasie białej: Nowoczesna armia chińska, przez europejskich instruktorów przekształcona: grupa oficerów sztabowych na manewrach.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

1 Przerobił J. R.

ROZDZIAŁ I.

Mąż i żona.

Było to w zimie. Po śniegiem pokrytej szosie szła znużonym krokiem młoda kobieta. Mrok wczesnego wieczora zsuwał się powoli na łąki i lasy, ostry, przejmujący wiatr zawodził rozpaczne swe skargi, unosząc tumany śniegu. Drżąca z zimna w swem biednem, cienkiem ubraniu, zdążała nieszczęśliwa do pobliskiej wsi. Otulona w starą, podartą chustkę, niosła na ręku małego, może czteroletniego chłopca, który z głośnym płaczem tulił się do jej łona.

— Mamo! Tak mi zimno i tak mi się jeść chce! — skarżył się chłopczyna.

— Zaczekaj jeszcze chwilę, Fredziu — uspokajała go matka, przyciskając go silniej do siebie — za chwilę już będziemy tam, u twego ojca. Tam już nigdy nie będziesz głodny. Miłosierny Boże! Dodaj mi sił, bym jeszcze mogła dojść do zamku! — zawołała głośno, brnąc z trudem przez zaspy śniegu.

Chłopczyna przestał płakać. Nieszczęśliwa matka mówiła zaś sama do siebie:

— Boże mój! Dlaczego on mnie i dziecko porzucił? Dlaczego wydał nas na łup ostatniej nędzy?

Dobywając ostatnich sił, szła coraz dalej przez wieś, wreszcie dotarła do długiej, lipami obsadzonej alei, wiodącej do zamku Schleinitz. Jeszcze chwila, a przed oczyma jej stanął w całej swej majestatycznej grozie warowny gród. Wiatr przestał wyć na chwilę i wtedy nieszczęśliwa aż się wzdrygnęła, jakby ją ta nagła cisza przejęła trwogą. Dziecko jej płakać przestało, jakby na niem zaciężyła już koścista dłoń śmierci. Przerażona stanęła, pochyliła głowę i słuchała. Bogu dzięki! Jej mały Fredziu jeszcze oddychał.

Podniosła oczy na rzęsiście oświetlone okna zamku i serce jej się ścisnęło. Tam, w komnatach zamkowych mieszka jej niewierny małżonek, opływając w dostatki, kiedy ona wraz z dzieckiem marznie na mrozie! Muszę tam wejść — szepce zbielałemi wargami — muszę się z nim widzieć nie dla siebie, ale dla dobra swego dziecka.

A jednak opanował ją jakiś dziwny lęk. Jak on ją przyjmie, ten mąż, który jej wierność ślubował, a porzucił ją, jak się łachman niepotrzebny rzuca.

Serce jej biło, jak spłoszony ptak, kiedy stanęła w obszernej sieni zamkowej i bezradnymi oczyma wodziła po ścianach, nie mogąc ujrzeć żadnej żywej istoty. Śnieg tajał na jej sukniach, tak, że każdy swój krok znaczyła wilgotnym śladem. Podeszła do wysokich drzwi, jednak kiedy je chciała otworzyć, siły ją opuściły i zemdlona osunęła się na ziemię.

— — — — — — — — — — — — —

W jednej ze wspaniałych komnat zamkowych chodził niespokojnie wysoki, elegancki mężczyzna. Błogi uśmiech rozlewał się po jego pięknej, czarną brodą okolonej twarzy. Chodząc, mówił do siebie:

— A więc jutro się z nią ożenię. Piękna Erna z pewnością oczekuje już z tęsknotą swego oblubieńca. Nic dziwnego, przecież ja ją zrobię hrabiną Pardua.

Spojrzał na zegar i mówił dalej:

— Hm! Za pół godziny trzeba będzie zaprządz, bo inaczej spóźniłbym się do pociągu, który mnie ma zawieźć do miasta. A przecie jutro muszę być na czas w domu pięknej narzeczonej.

Chciał właśnie zadzwonić na służącego, kiedy drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł stary, siwowłosy mężczyzna, zarządca zamku.

— Panie hrabio! — rzekł starowina widocznie wzruszony — przyszła tu biedna, młoda kobieta z dzieckiem. Znalazłem ją w sieni zemdloną — godna litości, powiadam...

— A więc żebraczka? — przerwał mu hrabia. — Trzeba jej dać schronienie na noc i zanieść ją do jakiego pokoju dla służby.

— Kiedy nieszczęśliwa upiera się, że chce mówić z samym panem hrabią. Powiada, że jaśnie pana zna...

— Co? — zawołał hrabia niechętnie. — Jednak głos mu zamarł w gardle, kiedy postać nieszczęśliwej ukazała się w drzwiach.

Z dzieckiem na ręku, usunąwszy zarządcę z progu, weszła do pokoju. Hrabia, ujrzawszy jej bladą twarz, na której można było odczytać przebyte troski i cierpienia, cofnął się w głąb komnaty, jakby oszalał z przerażenia.

— Wielki Boże! — krzyknął zdławionym głosem i patrzył na przybyłą wzrokiem tak obłąkanym, jakby widział przed sobą upiora, który przed chwilą wstał z grobu. — Małgorzata!

Opanował się jednak w tej chwili i skinieniem ręki kazał się oddalić zdumionemu zarządcy zamku.

— Niewierny mężu! — zawołała nieszczęśliwa i podbiegła ku niemu. — Nareszcie cię odnalazłam, chociaż od dwóch lat ukrywasz się przedemną. Przypatrz się, okrutniku, zobacz, do jakiej nędzy mnie doprowadziłeś — mówiła głosem, tamowanym przez łzy, stawiając dziecko na ziemi.

Blady, jak ściana, patrzył hrabia zimnemi oczyma na matkę i dziecko, ale na twarzy jego nie było widać najmniejszego wzruszenia, skruchy ni litości. Gdyby przed nim stała jaka obca żebraczka, której zupełnie nie znał, byłby jej z pewnością większe okazał współczucie.

— Czego ty chcesz? — rzekł do niej groźnie, a w oczach płonęły mu błyskawice tłumionej wściekłości. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Wynoś się! Wynoś mi się z zamku w tej chwili i nie waż się wchodzić mi kiedy w drogę.

— Robercie! — wybuchła kobieta, a głos jej brzmiał jak jęk śmiertelnie ranionego zwierza. I w tej sekundzie biedna kobieta padła do nóg hrabiego i objęła go za kolana.

— Robercie! — mówiła łkając, podniósłszy ku niemu swą bladą, łzami zalaną twarz. — Zlituj się! Miej przecie litość nad swoim własnym synem! Chcesz nas wyrzucić stąd w zimną noc? Nie, nie, tego przecie nie zrobisz, bo musiałbyś być bardziej okrutny, aniżeli najokrutniejszy mieszkaniec piekła. Kilka mil szliśmy tu do ciebie, przedzieraliśmy się po śnieżnych zaspach. O Boże! Co ja ci zrobiłam, okrutniku? Co zawiniło twoje biedne dziecko, że je porzuciłeś?

— Milcz! — krzyknął hrabia, odsuwając brutalnie jej ręce — ani słowa więcej! Gdyby służba słyszała, że... powiadam ci, kobieto, idź precz! Odejdź, albo — zapomnę się w gniewie — syczał groźnie przez zaciśnięte zęby. — Nie powiedziałżem ci wyraźnie, że nie chcę słyszeć o tobie!? Przeklinam te więzy, które mnie zawsze przykuwają do ciebie, a których ty sama nie chcesz rozerwać. Ale biada ci, jeśli cię jeszcze spotkam na swej drodze.

I pięścią uderzył ją w piersi tak, że nieszczęsna aż się zatoczyła na dywan. Podniosła się jednak wkrótce i tuląc do siebie dziecko, które głośno zaczęło płakać, zawołała głosem pełnym rozpacznego bolu:

— Nie, Robercie! Nie pójdziemy stąd! Czyż ja nie jestem twoją żoną? Czyż to nie twoje dziecko, nie twoja krew? Przecież temu nie zaprzeczysz!

— Właśnie, że zaprzeczam, do kroćset! — syknął drżąc ze wściekłości. — Idźno i powiedz ludziom, że ja jestem twym mężem, ja hrabia Robert Pardua! Haha! Myślisz, że ci kto uwierzy? Wezmą cię za obłąkaną i oddadzą do szpitala waryatów. Żebraczka i hrabina...

— A jednak oni mi uwierzą — przerwała mu spokojnie. — Chcesz mnie zmusić może, abym zdarła maskę, jaką na twarz włożyłeś? Skąd ty przychodzisz do tego, by się tytułować hrabią Pardua? Ty nie jesteś hrabią, tyś tylko...

— Czy ty będziesz milczała?!

Jak tygrys rzucił się na nią, ubezwładnił jej ręce i podniósł pięść, chcąc ją uderzyć. A ona, jakby jej nagle sił przybyło, patrząc mu w oczy, dodała:

— Boś ty jest syn mieszczański, mój mąż, Robert Wilding.

Zdawało się, że okrutnik zmiażdży jej głowę jednem uderzeniem. Już podniósł rękę do góry, jednak opanował się, opuścił ją i syknął przez zaciśnięte zęby:

— No tak, masz prawo nazywać mnie swym mężem. Ale nie ozwij mi się z tem nigdy przy obcych ludziach, bo to będzie twą zgubą. Robert Wilding, twój mąż, umarł — umarł dla ciebie i dla całego świata, rozumiesz?

— Nie, dla mnie i dla mojego dziecka nie umarłeś, Robercie. Możesz się nazywać, jak chcesz, ale zawsze jesteś i będziesz moim mężem i żadna moc świata nie zdoła mi wydrzeć ojca mojego dziecka. Nie opuszczę cię i nie odejdę stąd bez ciebie — mówiła głosem bolesnej stanowczości.

— Małgorzato, bądź rozsądną! Nie wchodź mi w drogę, bo tego gorzko pożałujesz. Czy sądzisz, że mógłbym jeszcze kiedy wchodzić z tobą w jakie stosunki? Pytasz się, dlaczego cię porzuciłem. Czyż mam ci to tłómaczyć? Bo się już tobą przesyciłem, bo znienawidziłem cię wskutek twojego chodzenia do księżyca. Nie chciałem mieć za żonę lunatyczki i tego mi nikt za złe nie weźmie.

— Jakto? Więc ja jestem lunatyczką? — szepnęła przerażona. — Nic o tem nie wiem....

— Może być. Mnie to zresztą najzupełniej obojętne, czy ty wiesz o tem, czy nie. Nie chcę jednak, abyś mi mogła kiedy zarzucić, że wydałem cię na łup nędzy. Jestem teraz bogaty i będę się starał o ciebie i o dziecko, tak, że biedy nie zaznacie. Ale stawiam warunek, że mi nigdy nie wejdziesz w drogę i nie będziesz mieć do mnie żadnej pretensyi.

— Robercie! — zawołała, a oczy błyszczały jej oburzeniem. — Pieniądzmi chcesz się okupić i pozbyć się żony i dziecka? Nędzniku bez sumienia! Ja nie ustąpię i nie dopuszczę nigdy do tego, aby jakaś inna kobieta zajęła moje miejsce przy twym boku.

— Zastanów się, Małgorzato — mówił wściekły z gniewu. — Nie możesz i nie powinnaś iść w poprzek mnie i memu szczęściu. Jestem zdolny do wszystkiego, o tem powinnaś wiedzieć. Nie drażnij mnie więc i nie wyprowadzaj z równowagi — groził jej głosem tak surowym, że ją mróz przeszedł po kościach.

— Robercie! — błagała go, załamując ręce wśród gorących łez — opamiętaj się i powróć do nas nie dla mnie, ale dla swego dziecka. Więc mały Fredziu nie będzie miał ojca? Robercie! Zrozum, że wszedłeś na złą drogę, która cię w przepaść zaprowadzi. Powróć z niej! Jeszcze nie jest za późno. Patrz, masz tu mnie i dziecko, wszystko będzie znowu dobrze...

— Nie, nigdy! Przecież byłbym głupcem, gdybym sam odrzucił to szczęście, jakie mnie spotyka. Ale — przerwał na chwilę i wpatrzył się w nią dzikiemi oczyma — skąd ty wiesz, że ja teraz jestem hrabią Pardua? W jaki sposób mnie odnalazłaś? Kto ci zdradził moją tajemnicę?

— Nikt — widziałam cię przed kilku dniami w mieście. Jechałeś we wspaniałym powozie i nie zauważyłeś mnie. Wysiadłeś przed jednym pałacem i zniknąłeś w nim, zanim na cię zdołałam zawołać. Poznałam cię natychmiast, Robercie, chociaż powierzchowność twoja się zmieniła. Pytałam się ludzi i byłam pewna, że są w błędzie, nazywając cię hrabią Pardua.

— A dalej? — spytał z szyderczym uśmiechem. — Wiesz, kto mieszka w pałacu, do którego wszedłem?

— Dowiedziałam się i o tem i o mało nie oszalałam, kiedy mi powiedziano, że hrabia Pardua poszedł do swojej narzeczonej, córki zmarłej radczyni Solms, pięknej Erny.

— W takim razie wiesz wszystko. Znasz moje zamiary i cele — mówił hrabia z szyderczym śmiechem — i zdaje mi się, że masz na tyle rozumu i nie będziesz mi robiła trudności w mojem dążeniu do szczęścia.

— Czy to seryo, Robercie? Więc chcesz poślubić Ernę? Tę dziewczynę, która w tobie widzi hrabiego Pardue, jakim ty przecie nigdy nie byłeś i nie jesteś? Ależ nie, to przecie niemożliwe. Takim łotrem przecie nie jesteś. Może sądziłeś, że ja umarłam, uważałeś się więc za wolnego. Ale teraz, kiedy wiesz, że ja, twoja żona, żyję, teraz przecie nie możesz myśleć o poślubieniu innej kobiety.

— A jednak tak się stanie. Ja, hrabia Pardua, zaślubiam jutro Ernę Solms.

— Rany Boskie! Czy rozum straciłeś? — jękła nieszczęśliwa, przerażona i oszołomiona. — Jednak, ty tego nie zrobisz — dodała, jakby uspokajając sama siebie. — Chociaż nie wiem, w jaki sposób przywłaszczyłeś sobie tytuł i majątek hrabiego, to jednak, dzięki Bogu, wiem o tem, jak biedne, niewinne dziewczę ostrzedz przed straszną zbrodnią, jaką planujesz.

— Ha! Więc rzeczywiście chcesz mi stanąć na przeszkodzie? Chcesz może Ernę ostrzedz i zdradzić mnie? — rzucił zbielałemi od gniewu wargami.

— Już ją ostrzegłam. W tej chwili Erna Solms wie już o tem, że ty nie jesteś wcale hrabią Pardua, ale moim małżonkiem.

Z krzykiem, pełnym przestrachu, nienawiści i gniewu, hrabia aż się zatoczył i przez chwilę patrzył zdumiony w jej marmurowo blade oblicze.

— Więc ty śmiałaś?! — wrzasnął i rzucił się na nią jak szalony. — Ależ nie, dlaczego się przestraszam? Przecież ona ci nie uwierzyła, wyrzuciła cię za drzwi, jako waryatkę. Nie tak było? Mów, ty żmijo jadowita!

I znowu chwycił ją za ramiona i trząsł nią, jak wicher drzewem, w bezmyślnej wściekłości.

Mały Fredzio zaczął płakać. Jednak w tej chwili okrutny ojciec schylił się ku niemu i zatkał mu usta ręką. Dziecko, przestraszywszy się jego wzburzonej postaci i dziko płonących oczu, umilkło w jednej chwili. Matka chciała mu przybiedz na pomoc, ale w tej chwili Robert z siłą prawie nadludzką, podwojoną przez gniew i wściekłość, oderwał ją od malca, i wlokąc ją do przyległej, ciemnej zupełnie komnaty, syczał przez zaciśnięte zęby:

— Nie będziesz ty mi włazić w drogę, nie będziesz mi przeszkadzać, uwolnię ja się na zawsze od ciebie!

Otworzył drzwi i pchnął nieszczęśliwą do ciemnego pokoju.

— Mamo! Mamo! — krzyczało dziecko w śmiertelnej trwodze, biegnąc za matką. Wtem drzwi się zamknęły, zgrzytnął klucz w zamku, z ciemności dobiegł chłopca przeraźliwy, krew ścinający w żyłach krzyk — i nastąpiła cisza, śmiertelna cisza.

— Mamo! — wołał z płaczem chłopczyna, bijąc rączynami o drzwi. Nadaremnie — matka nie odpowiadała. Może nieszczęśliwa już wyzionęła ducha pod rękoma nieludzkiego małżonka?

Nikt nie przychodził z pomocą. Czyżby nikt w zamku, oprócz małego dziecka, nie słyszał rozdzierającego serce krzyku matki? Cisza wszędzie panowała śmiertelna, przerywana tylko płaczem nieszczęśliwego malca, płaczem, ktory tonął między czterema ścianami wspaniałej komnaty.

ROZDZIAŁ II.

Ostrzeżenie.

— O, mój Boże! To przecie nie możliwe, to nie może być prawdą!

Taki bolesny okrzyk wydarł się z ust prześlicznego, złotowłosego dziewczęcia, które przy świetle lampy, siedząc w wygodnym szezlongu we wspaniałym buduarze trzymało właśnie świeżo z poczty przyniesiony list w ręku. Przestraszone oczy zwróciła raz jeszcze na małą kartkę, zapisaną kobiecem pismem, gdy wtem z koperty wypadła jej fotografia. Rzuciła na nią okiem i znów z piersi jej wydarł się bolesny krzyk.

Do pokoju wbiegła blada, ze śladami dłuższej choroby na twarzy, dziewczyna i nachyliła się nad nieprzytomną prawie siostrą.

— Erno! — zawołała — siostrzyczko! Co ci się stało?

Objęła jej kibić rękoma i tuliła do siebie, jak małe dziecko. Erna, ocknąwszy się z chwilowej niemocy, podała jej list.

— Czytaj, Elżbietko, czytaj i powiedz mi, czy można w to uwierzyć.

Elżbieta rozwinęła list, ale i na jej twarzy odbił się wyraz przerażenia, kiedy czytała następujące słowa:

„Łaskawa pani! Stoi pani nad przepaścią, ani się tego nawet domyślając. Jesteś pani ofiarą okrutnego oszustwa. Człowiek, który się przedstawia za hrabiego Pardue, a którego pani uważa za swego narzeczonego, jest moim mężem. Pozostawił on żonę i dziecko w najgorszej nędzy. Niech się pani strzeże i niech pani usłucha tej przestrogi od nieszczęśliwej Małgorzaty Wilding“.

Elżbieta rzuciła ten list z wyrazem największego oburzenia na ziemię i przyciskając siostrę do łona, pocieszała ją:

— Nie, siostrzyczko, to nie prawda, to tylko potwarz. List ten pisała jakaś waryatka. Proszę cię, czyż można w to wątpić choćby na chwilę? Ale, cóż to jest? — przerwała sama sobie i podniosła fotografię, która się Ernie zsunęła z łona na ziemię.

— Tak, przyjrzyj się jej, Elżbietko — mówiła, łkając, Erna. — Czyż to nie Robert, nie mój narzeczony, ten człowiek, który stoi obok tej w ślubnem ubraniu kobiety?

I Elżbieta uczuła, że ją coś w gardle dławi, kiedy patrzyła na fotografię, jaka była dołączona do listu Małgorzaty Wilding.

Przedstawiała ona młodą parę nowożeńców w ślubnych strojach, a rysy mężczyzny przypominały najdokładniej rysy narzeczonego Erny, którego portret wisiał nad jej biurkiem.

— A przecie to niemożliwe, Erno, to nie może być prawdą. To potwarz — mówiła, drżąc jak we febrze starsza siostra. — Jakżeżby Robert mógł starać się o twoją rękę, gdyby był już żonatym? Jakiś podlec chciał cię jeno nastraszyć. Bo, gdyby to było prawdą, to dlaczegóż ta kobieta sama do ciebie nie przyszła?

— Ależ fotografia, Elżbietko!? Przecież to on jest na niej!

— Nie, nie, Erno. Uspokój się. To tylko powierzchowne podobieństwo.

Ale biedna dziewczyna nie zdołała się uspokoić. Zwątpienie, przerażenie i trwoga walczyły w jej duszy. Płakała i łkała i skarżyła się, nareszcie zmożona wzruszeniem, opadła bez przytomności na szezlong.

— Na Boga, Erno! — zawołała Elżbieta przestraszona i nachyliła się z macierzyńską pieczołowitością nad ukochaną siostrą. Potem zadzwoniła na służącą, która natychmiast przyszła.

— Prędko, Hanusiu, przyprowadź doktora Stürmera! Panna Erna nagle zachorowała!

Pokojówka wyszła, a Elbieta po bezskutecznych usiłowaniach przywrócenia Erny do przytomności, schowała nieszczęsny list i fotografię do biurka i czekała niecierpliwie na przybycie lekarza.

Obie siostry były córkami bankiera, radcy Solmsa, zmarłego przed dwoma laty. Matka ich, umierając, poleciła starszej córce, aby jak matka



...Zdawało się, że okrutnik zmiażdży jej głowę jednem uderzeniem. Już podniósł rękę do góry, jednak opanował się, opuścił ją i syknął przez zaciśnięte zęby...

czuwała nad Erną i dla niej całe poświęciła życie. Potem zawołała do siebie Ernę, która płacząc musiała jej przyrzec, że poślubi hrabiego Pardue, jedynego syna jej zmarłej siostry, który się starał o jej rękę. I Erna przyrzekła.

Pani Solms wyzionęła ducha, a błogi uśmiech krasił nawet po śmierci jej szlachetne rysy. Umarła bowiem z tą nadzieją, że córka jej będzie hrabiną Pardua. Wkrótce potem Erna zaręczyła się w cichości z hrabią Robertem Pardua, który ją ubóstwiał i przyrzekał, że ją na rękach nosić będzie.

Miałżeby więc on tak podle ją oszukać i żenić się z nią, będąc już raz żonatym?

— To niemożliwe! — rzekła półgłosem Elżbieta.

Za chwilę zjawił się lekarz, młody, wysoki mężczyzna o rysach poważnych, nadzwyczaj sympatycznych. Na twarzy jego widać było troskę, jakby przyszedł nie do obcej kobiety, ale do chorej siostry. Elżbieta przeniosła nieprzytomną siostrę przy pomocy pokojówki do łóżka i kiedy doktór Stürmer pisał receptę, rzekła doń uroczyście:

— Rób pan wszystko, panie doktorze, aby siostra była do jutra zdrowa. Bo przecież, co by to było, gdyby ona dłużej chorowała? Wszakże to jutro jej ślub. Hrabia Pardua, jej narzeczony, byłby nieszczęśliwy, gdyby się musiało ten uroczysty akt odłożyć na później.

Młody lekarz podniósł nagle głowę i blady, jak chusta, z wyrazem niemej boleści w oczach spojrzał mówiącej w twarz.

— A więc to, tak przez ś. p. radczynię upragnione małżeństwo, przyjdzie wreszcie do skutku?— szepnął drżącym głosem.

— Tak, panie doktorze — odparła Elżbieta, zdumiona dziwnem brzmieniem jego słów. — Prawda, nie wiedziałeś pan o niczem, bo pan byłeś dłuższy czas w podróży. Tak, moja siostra będzie jutro szczęśliwą małżonką hrabiego Pardua.

— Szczęśliwą? — rzekł gorzko lekarz — Daj Boże! — dodał po chwili, opanowując się.

Pokojówka poszła z receptą do apteki, a Elżbieta również opuściła pokój, aby zarządzić dostarczenie lodu dla Erny. Doktor Stürmer, zostawszy sam z chorą, wzdrygnął się, jakby chciał jakiś ciężar zrzucić ze siebie, podszedł do jej łóżka i patrzył oczyma pełnemi łez na leżącą bez przytomności Ernę.

— Wielki Boże — mówił z bólem — dlaczego mi to zrobiłeś, dlaczego odebrałeś mi moje całe szczęście, o które się od lat tylu starałem? Erno, najdroższa moja, tyś nawet nie przeczuwała, że ja cię więcej kocham, nad własne życie i żebym chętnie krwi z serca utoczył, byleś ty była szczęśliwą!

Z jakąż tęsknotą powracał młody, pełen najpiękniejszych nadziei lekarz, z dłuższej podróży do rodzinnego miasta! Miał teraz majątek, jaki otrzymał po stryju, mógł więc i miał zamiar przyjść do Erny i powiedzieć jej: Chcesz uszczęśliwić człowieka, który dla ciebie i tobą tylko żyje? Jeśli tak, to powiedz mi, że chcesz zostać moją przed Bogiem i ludźmi, moją żoną!

Piękny sen jego się rozwiał. Ta, którą ukochał całą siłą swej duszy, była dlań na zawsze stracona. I serdeczne łkanie wstrząsnęło jego postacią, duże łzy stoczyły mu się po bladych policzkach. Ten silny, piękny mężczyzna, łkał jak dziecko, płakał po swojem szczęściu.

Do pokoju weszła znów Elżbieta, a za nią pokojówka z lekarstwem. Lekarz wydał ostatnie rozporządzenie i wyszedł.

— Jutro rano będzie panna Erna zupełnie zdrowa — pocieszał Elżbietę przy rozstaniu i opuścił pałac zupełnie spokojny. Kiedy jednak stanął na ulicy i raz jeszcze spojrzał w górę, na oświetlone okna mieszkania Erny, z piersi jego wydarło się ciężkie westchnienie.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece — szeptał. — Obyś była tak szczęśliwą przy boku hrabiego Pardua, jak na to zasłużyłaś, kochanko ty moja, stracona dla mnie na wieki! — — —

Na drugi dzień, jak powiedział lekarz, Erna wstała zupełnie zdrowa. Przedpołudniem zjawił się w pałacu narzeczony i został przez starszą siostrę serdecznie przyjęty. Kiedy oboje weszli do buduaru Erny, zdawało się, że młoda oblubienica drżała od wewnętrznej trwogi. Porozumiała się oczyma ze siostrą, która zaraz pokój opuściła.

Hrabia Pardua przystąpił do narzeczonej i obejmując jej kibić, zapytał głosem, pełnym miłości:

— Słodka ty moja Erno! Gdybyś ty wiedziała, jak ja cię kocham!

Przemocą uwolniła się z jego objęć i rzekła, drżąc ze wzruszenia:

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.
Wielki strejk drukarski we Lwowie: Grupa strejkujących robotnic personalu pomocniczego.

Wielki strejk drukarski we Lwowie.

W środę ubiegłego tygodnia stanęła we wszystkich lwowskich drukarniach wszelka praca. Zastrejkowali bowiem zecerzy, ujmujac się za personalem pomocniczym, (t. zw. nakładaczkami i obsługującymi maszyny), ten zaś już na tydzień przedtem ogłosił bezrobocie.

I. Strejk pomocy.

Przyczyny strejku personalu pomocniczego są następujące: W poprzednim roku zorganizowały się pomocnice drukarskie w stowarzyszenie, którego celem miało być wywalczenie lepszych warunków pracy. Dążąc do tego celu, wniosły pomocnice szereg memoryałów do gremium drukarzy lwowskich; domagały się one regulacyi płac, ujednostajnienia i skrócenia czasu pracy, lepszego traktowania a przedewszystkiem uznania ich organizacyi. Gremium drukarzy pozostawiło memoryały bez odpowiedzi. Nie mniej jednak w lutym b. r. uzyskały starsze robotnice wynagrodzenie miesięczne 40 kor. Ponieważ atoli nie załatwiono innych postulatów robotnic, stowarzyszenie wniosło przed paru tygodniami ostateczny memoryał z żądaniami, grożąc na wypadek odmowy bezrobociem. Gremium istotnie odpowiedzi nie dało, wobec czego personal pomocniczy drukarski, zarówno męski, jak żeński, rozpoczął strejk 5 b. m.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.
Wielki strejk drukarski we Lwowie: Grupa strejkujących drukarzy (zecerów i maszynistów).

Mimo to ruch w drukarniach nie ustał, a tylko odbywał się z trudnościami. Właściciele poczęli używać do nakładania chłopców, którzy jednak z powodu nieukwalifikowania nie mogli od razu zastąpić sił strejkujących.

II. Strejk zecerów.

Zupełnie niespodziewanie wybuchł w dziesięć dni później strejk zecerów. Przyczyną było niezałatwienie przez właścicieli żądań strejkującego



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.
Wielki strejk drukarski we Lwowie: Komitet strejkowy z przewodniczącym Józefem Hudecem, prezesem „Ogniska“, galicyjskiego stowarzyszenia drukarzy i radnym miasta, w pośrodku (w cwikierze).

personalu pomocniczego, podstawą zaś, na której oparli się zecerzy, zaprzestając pracy bez wypowiedzenia, było to, iż pryncypałowie używali praktykantów do zastąpienia strejkującej pomocy, na co cennik drukarski nie zezwala. Zecerzy uczuli się zobowiązanymi do solidarnego poparcia strejku personalu pomocniczego, ponieważ stowarzyszenie pomocnic rozpoczęło akcyę pod egidą i opieką stowarzyszenia zecerów. We wtorek wieczór odbyło się zgromadzenie wszystkich zecerów i na tem zgromadzeniu powzięto większością głosów uchwałę, postanawiającą z dniem następnym ogólny strejk. Istotnie w środę 14 bm. nie stanął nikt do pracy.

Drukarze krakowscy uchwalili na rzecz strejku lwowskich kolegów na razie 5.000 koron do dyspozycyi prezydyum komitetu, a nadto postanowili się opodatkować.

III. Dzienniki lwowskie wobec strejku drukarskiego.

W trudnem, fatalnem wprost położeniu znalazły się codzienne pisma lwowskie z chwilą zaprzestania pracy przez zecerów, zwłaszcza, że właściciele drukarń zamknęli zupełnie zakłady na czas strejku. Wobec tego wydawcy lwowskich dzienników, postanowili wydawać przez czas bezrobocia jedno pismo codzienne, pt. „Chwila“ redagowane wspólnie w lokalu „Słowa polskiego“, gdzie się też ono drukuje na maszynie, rotacyjnej a składają je chłopcy oraz kilku zarządców drukarń. „Chwila“ wychodzi codzień popołudniu, a zawiera — bez charakteru politycznego — jedynie wiadomości bieżące i telegramy. W skład redakcyi „Chwili“ wchodzą delegaci wszystkich pism lwowskich; ścisły komitet redakcyjny, który decyduje o pomieszczeniu każdej choćby notatki kronikarskiej, tworzą pp. Krechowiecki, redaktor „Gazety Lwowskiej“, prezes tow. dziennikarzy polskich; dr. Aleksander Vogel, redaktor „Gazety Narodowej“; Wacław Masłowski, redaktor „Przeglądu“ i Bronisław Laskownicki, redaktor „Wieku Nowego“.

Grupę redakcyi tego unikatu w dziejach dziennikarstwa podajemy w dzisiejszym numerze, podobnie jak fotografie strejkujących pomocnic drukarskich, grupę pomocników, grupę zecerów, komitet strejkowy zecerów, wreszcie portret przewodniczącego gremium drukarzy lwowskich, radnego miasta, p. Józefa Neumana.



Postawił na swojem: Ludwik Heller, nowy dyrektor teatru miejskiego we Lwowie.

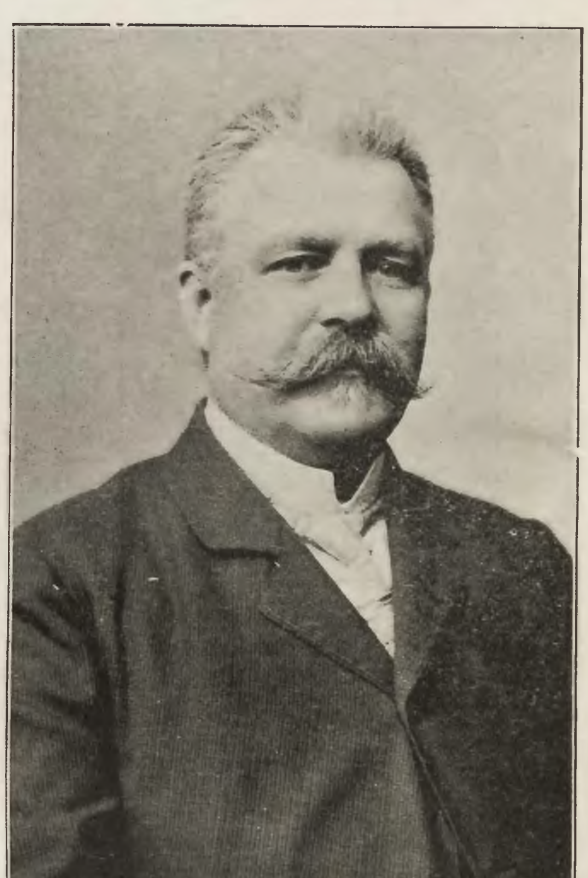


Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz, Lwów.
Wielki strejk drukarski we Lwowie: Grupa strejkujących robotników personalu pomocniczego.

W ostatniej chwili donoszą ze Lwowa, że strejk drukarzy ustał. Wobec tego od środy 22 bm. wznowiono prace w drukarniach, a w miejsce „Chwili“ zaczęto z powrotem wydawać wszystkie pisma lwowskie. Gremium drukarzy przyznało podwyższenie personalowi pomocniczemu.

Postawił na swojem.

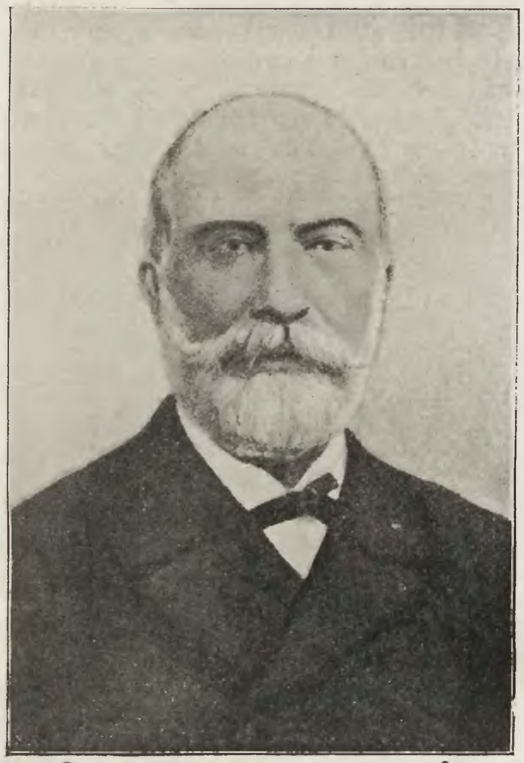
Od chwili, gdy rozpisano konkurs na dyrektora teatru we Lwowie na miejsce Tadeusza Pawlikowskiego, można było być pewnym, iż nie kto inny zostanie jego następcą — jak tylko poprzednik jego: Ludwik Heller. Zawiódł się bowiem Lwów na Pawlikowskim i osądził, że w tej chwi-



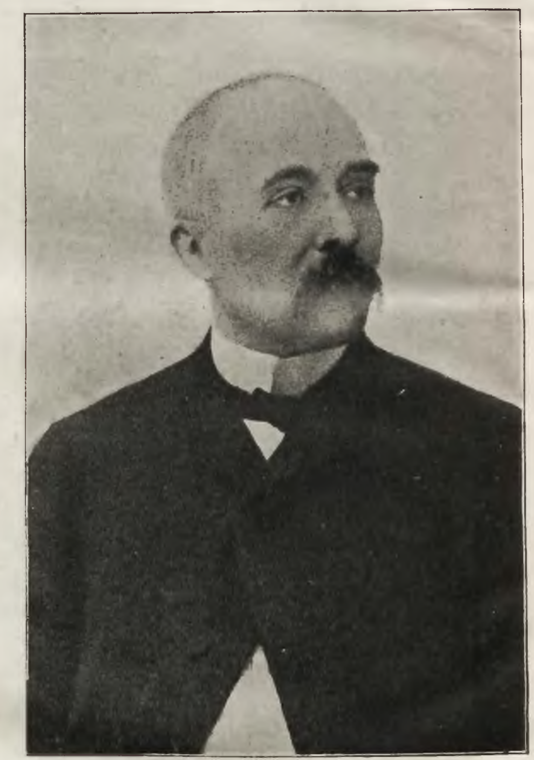
Wielki strejk drukarski we Lwowie: Radny miasta, Józef Neuman, przewodniczący gremium drukarzy lwowskich, którzy na czas strejku zamknęli wszystkie drukarnie.

li, gdy ten ustępuje, niema godniejszego kandydata, któremuby ster sceny stołecznej można oddać — nad Hellera, który był przecież tak tęgim dyrektorem w starym gmachu Skarbkowskim i nie dostał wówczas teatru miejskiego jedynie dlatego, że „wielki esteta z Medyki“ wydawał się najidealniejszym. Dziś, gdy przyszło Radzie miejskiej wybierać między kandydatami, rzecz była odrazu

zdecydowana. Toteż ostateczna uchwała, powierzająca losy sceny lwowskiej byłemu jej dyrektorowi, Ludwikowi Hellerowi — nie była już dla nikogo niespodzianką. A przyjęto ją wszędzie z zadowoleniem. Przypominając dziś portret ponownego dyrektora Czytelnikom naszym, życzymy mu, żeby spełnił wszystkie nadzieje przez ogół w nim pokładane, skoro wreszcie postawił na swojem i ziściło się jego tyloletnie marzenie.



Nowy gabinet we Francyi: Znany radykał francuski, Sarrien, który został prezydentem ministrów.



Nowy gabinet we Francyi: Nadający cechę obecnemu gabinetowi, nowy minister spraw wewnętrznych Jerzy Clemenceau.

Nowa „diva“.

Poprzedzała ją dawno już fama w Warszawie — ale ta uliczno gabinetowa, która wywiodła ją z baletu i po pewnym czasie wprowadziła zwycięsko do operetki między „Piękne z Nowego Yorku“, gdzie skombinowaną sztuką tańca, gwizdania i śpiewu odniosła odrazu duży sukces. W śpiewie wykazała wówczas wcale piękny głos mezzosopranowy. Z jego pomocą postanowiła zapukać w przyszłości śmiało aż do bram opery. Naśmiewano się z tych śmiałych aspiracyj, a tymczasem przyszła „diva“, zawsze strojna, (choć zawsze niedbale) ożywiona, wesoła, nigdy nie osamotniona, coraz częściej zapowiadała bliski swój debiut w operze, sama jedna w niego wierząca. Zapory zdawały się nie do przezwyciężenia dla Janiny Czaplińskiej, o wiele głośniejszej z czasów baletu, niż z operetki. Pierwsze zapukanie do opery spotkało się z odmową i wyniosłem ruszeniem ramion. Drugie, z pomocą przyjaciół - znawców, zyskało powolniejsze ucho dyrektora opery Podesti'ego i instancyą do prezesa. Wbrew wszelkim trudnościom poprzednim, zapowiedziano nagle niespodziany debiut nowej „divy“, o którym zdawały się dobrze wróżyć już zakulisowe echa z prób.



Nowa „diva“: Artystka Janina Czaplińska, której debiut niespodziewany w operze sprawił sensacyę w kołach teatromanów warszawskich.

Aż oto w dzień debiutu teatr wysprzedany ziścił najśmielsze marzenia dyrekcyi. Warszawę przekonała debiutantka, której portret dajemy, jak wielkie liczy zastępy przyjaciół. A sam debiut, w arcytrudnej partyi Carmeny, w której przyszło p. Czaplińskiej zmierzyć się z tradycyą Hermanek, Hellerówien i Bellincionich, wypadł — doprawdy — tak dobrze, tak bez zarzutu, że zamknął usta sceptycyzmowi uprzedzonych.

Zwycięstwo zatem na całej linii, nad przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi, a więc i nad złośliwą plotką, która z pianą zazdrości i zawiści na ustach wcześnie już głosiła światu, że podwoje opery warszawskiej otwarł nagle tak gościnnie — nie jej głos srebrny, lecz takiż serwis ofiarowany przez „przyjaciela“ dyrektorowi Podestiemu i tejże samej próby 3000 srebrnych rubli, ofiarowanych przez tegoż samego „przyjaciela“ jednemu z najbliższych członków rodziny prezesowskiej teatru.

Oto co może złośliwość ludzka — a wraz i przykład, jak się ją zwycięża! *B-tt.*



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.

Wielki strejk drukarski we Lwowie: Redakcya „Chwili“, dziennika zbiorowego, wydawanego przez czas strejku: w środku prezes Tow. dziennikarzy, radca Krechowiecki; obok niego sędziwy nestor lwowskich dziennikarzy, redaktor Platon Kostecki (wsparty o laskę).



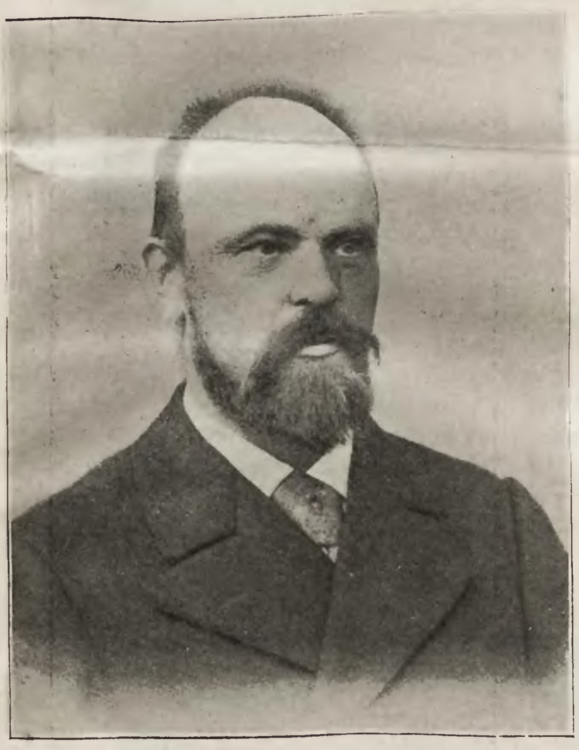




Ofiary strejków kolejowych w Rosyi: Wystrzelani przez pułk Siemionowców w czasie strejku na stacyach Drogi żel. Moskiewsko-Kazańskiej, pracownicy tej kolei: śp.: Iwanow, Płotinkow, Rozanow, Szelechanow i Bobilkow.

Ofiary strejków kolejowych w Rosyi.

Świeżo podawaliśmy w „Nowościach“ szereg portretów ofiar Siemionowców na stacyi Gołutwina. Znają tedy Czytelnicy nasi już tę głośną sprawę. Dziś zdarza nam się sposobność zamieszczenia fotografii pięciu innych ofiar tego samego, tak dziś osławionego pułku Siemionowskiego. Są to również kolejarze, których oficerowie owego pułku leibgwardyi wystrzelali na stacyach w okolicy Moskwy. w czasie strejku kolejowego na Drodze żelaznej Moskiewsko-Kazańskiej. Między zabitymi są i starsi urzędnicy stacyjni, są młodzi technicy, w charakterze rysowników pracujący na tej kolei. Niejeden z zastrzelonych należał do agitatorów lub nawet organizatorów strejku kolejowego, w większości wszakże ludzie ci brali tylko udział w ogólnem bezrobociu, gdy hasło partyjne unieruchomiło



Ze Syberyi do Warszawy: Kupiec w Samarze, Sułginow, dobroczyńca polskich zesłańców na Syberyi.

koleje rosyjskie. Z pośród pięciu sportretowanych tutaj urzędników kolei moskiewsko-kazańskiej, którzy wówczas zginęli, dwaj byli rysownikami technicznymi w służbie kolejowej.

Ze Syberyi — do Warszawy.

Ruch socyalny wytworzył w ostatnich lat dziesiątkach nowe pokolenie zesłańców na Sybir. Dostarczyła ich nie mało i Warszawa, tak jak Petersburg lub Moskwa. Bez rozgłosu, bez pożegnania z rodziną, przyjaciółmi, aresztowanych nagle na ulicy, więzionych następnie podczas śledztwa na Pawiaku lub w cytadeli, wysyłano ich hen daleko, utartymi szlakami białej północy.

Jednym z takich — opłakanych ledwo przez żonę — był i Wincenty Mazurek pracownik rękawiczniczy warszawski. Pewnego dnia marca 1901 roku jak wyszedł z domu, tak nie wrócił aż teraz znowu 12 marca 1906 roku. Przechodził ciężkie koleje wygnania, na których pocieszała go otrzymana później od żony fotografia. (Podajemy ją obok). Przeznaczony, początkowo do gub. wołogodzkiej do ujazdu Kadnikowa, spędził drugą połowę wygnania w Samarze, o 800 wiorst dalej położonej. Zsyłkowa podróż była uciążliwa, pełna niedostatków i dolegliwości. W Moskwie dopiero doznali pomocy i pocieszenia od przedstawicieli



Ze Syberyi do Warszawy: Wincenty Mazurek (z żoną), rękawicznik warszawski, który w tych dniach wrócił do domu z Syberyi, dokąd zesłano go przed pięciu laty jako politycznego przestępcę.

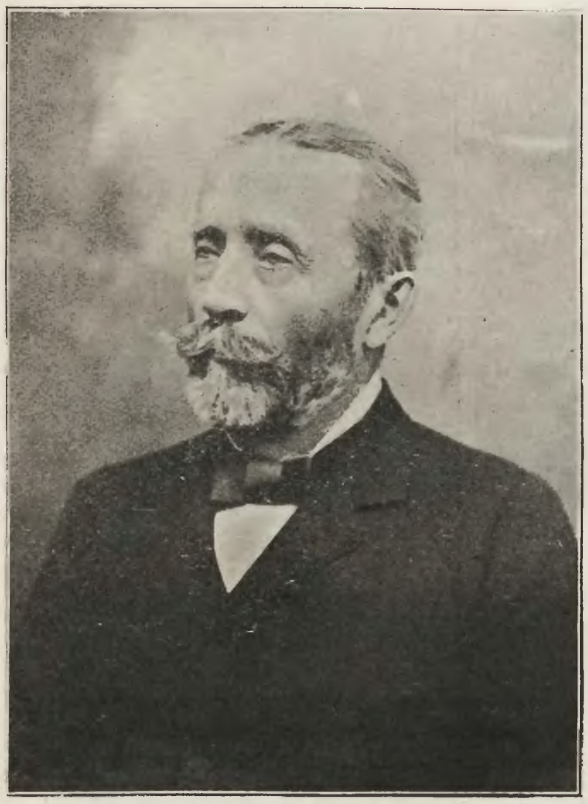
tamtejszych partyj społecznych, z góry uprzedzonych o przejeździe polskich towarzyszów politycznych, uprzedzonych dzięki współwygnańcowi, którego agitacya zapędziła z Peterburga aż na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej, skąd przy pomocy przekupionego żydka miał przewieść w głąb Rosyi zabronione pisma i książki rewolucyjne. Niestety — faktor wziął srebrniki i zdradził. Młodzieńca aresztowano na warszawskim dworcu i uwięziono w cytadeli, gdzie po sześciu miesiącach nauczył się dobrze mowy polskiej a nawet pieśni polskich. Był to Iwan Siergiejew (oto jego fotografia), student politechniki petersburskiej, o gorącem sercu, zapalnym umyśle. Jemu to dzięki zaopatrzono zesłańców w Moskwie w żywność i pieniądze, a opieka podobna już im towarzyszyła na całej dalszej drodze, aż do miejsca przeznaczenia w Kadnikowie.



Ze Syberyi do Warszawy: Więziony w cytadeli warszawskiej student politechniki, Iwan Siergiejew, który w Moskwie niósł pomoc polskim zesłańcom.



Powrót wodza z placu boju: Chwila przybycia do Petersburga generała Leniewicza, który musiał złożyć naczelne dowództwo nad armią mandżurską.



Zasłużony kolejarz: Śp. radca dworu Wiktor Kolosvary, były dyrektor kolei państw. w Krakowie.



1.500 trupów pod ziemią: Zewnętrzny widok wejścia do szybu w kopalni węgla w Courrieres, w której katastrofa pochłonęła tyle ofiar.



1.500 trupów pod ziemią: Olbrzymia katastrofa w kopalni węgla w Courrieres: Żandarmi muszą powstrzymywać tysiączne tłumy rodzin górniczych, u wejścia do szybu nr. 4, pragnących dowiedzieć się o losie krewnych.

Osada to wiejska uboga, złożona z kilkudziesięciu domów drewnianych w śniegu zakopanych. Życie tu było ciężkie. Zdrowie zrujnowane więzieniem i przydługą podróżą zaczęło podupadać, tak że aż podać przyszło prośbę o przeniesienie w lepsze miejsce.

Przeznaczono Samarę, miasto o kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców, i wielkiej, licznej kolonii zesłańców. Towarzysze Polacy, to byli sami rzemieślnicy, rękodzielnicy, robotnicy itp; towarzysze Rosyanie to prawie sama inteligencya: lekarze, felczerzy, adwokaci, handlowcy, kupcy itp. Wszyscy trzymali się społem, jedną jakby gminę stanowiąc, polsko-rosyjską, w której oba panowały języki, gdyż nawzajem uczono się obydwu. Wiązały się też ściślejsze kółka czy grupy mieszane.

Z osób z którymi tam wspólnie żył Mazurek na wygnaniu, wspomnimy kilka nazwisk inteligentnych tułaczów Była tam zesłana na lat 8 osiwiała staruszka, powieściopisarka Marya Piotrówna Ławrow z córką i 14-letnim synem tejże, Wiktorem skazanym za śpiewanie w szkole pieśni patryotycznych. Dalej student uniwersytetu Sak z żoną i dzieckiem; dalej Buchanow i jego żona, Boszko, Siemionow (z cesarstwa), Brede (Łotysz), Dominik i Rafał (Litwini), Chrzanowski również Polak z Warszawy.

Kiedy wreszcie w porę przyszła amnestya, polskiemu zesłańcowi umniejszyła ona blisko rok jeszcze kary i powiodła z powrotem hen daleko, do cieplejszej kochanej Warszawy i żony... Więc pożegnał tych niezapomnianych, serdecznych towarzyszy niedoli, w pamięci wdzięcznej przechowując wszystkich, a wśród nich i filantropa kupca Sługinowa, (portret na str. 15) który szczerem sercem, otwartą dłonią tylekroć razy przynosił im wszystkim pociechę i pomoc.

Powrót wodza z placu boju.

Powrót wodza z wojny: cóż to za chwila uroczysta, co za obraz charakterystyczny... Łatwo sobie wyobrazić przyjęcie — jakie naród gotów w patryotycznem uniesieniu zgotować bohaterowi, który na placu boju dowodził siłą zbrojną, a po trudach wojennych wraca do ojczyzny zwycięzcą...

Tak było w Japonii.

Ale Rosya chwili podobnej nie zaznała ani razu po ukończeniu fatalnej wojny na Dalekim Wschodzie azyatyckim.

Właśnie powrócił do Petersburga jeden z wodzów, generał Leniewicz, który musiał — jak wiadomo — złożyć dowództwo naczelne nad rosyjską armią mandżurską.

Dość spojrzeć na załączoną tu rycinę, według fotografii, zdjętej na dworcu w Petersburgu w chwili, gdy generał, wysiadłszy z pociągu, który go przywiózł z Charbina, przechodził przez peron do powozu — żeby nabrać pojęcia, jak obojętnym był ten moment dla Rosyan.



1.500 trupów pod ziemią: Olbrzymia katastrofa w kopalni węgla w Courrieres: Wydobyte z głębi szybu resztki zwęglone jednego z górników, niesione na miejsce rozpoznawania ofiar przez rodziny.

Zasłużony kolejarz.

W ubiegłą sobotę zmarł w Krakowie człowiek, którego nazwisko zapisało się złotemi zgłoskami w historyi rozwoju naszego kolejnictwa; zmarł były dyrektor kolei państwowej, śp. Wiktor Kolosvary. Węgier z nazwiska, był śp. Kolosvary Polakiem z przekonań i uczuć, dla polskiego społeczeństwa przez całe życie niezmordowanie pracował i zjednał sobie przez swój nieskazitelny charakter i swoje zasługi uznanie i wdzięczność obywateli.

Urodzony w Zgórsku w Galicyi, rozpoczął śp. Kolosvary po ukończeniu odpowiednich studyów przed 47 laty, jako młody technik, służbę naprzód przy kolei Karola Ludwika, następnie pracował przy kolei czerniowieckiej, a w roku 1885 powierzono mu ważne i odpowiedzialne stanowisko naczelnika dyrekcyi kolei państwowych w Krakowie, z którego przed kilku laty po gorliwej i owocnej pracy, przeszedł w stan spoczynku. Jako dyrektor był gorliwym i serdecznym opiekunem urzędników i służby, dla której przeprowadził budowę kolonii robotniczej, kościoła i szkoły w Nowym Sączu.



1.500 trupów pod ziemią: Jeden z niewielu górników, który ocalał z katastrofy w Courrieres.

Z Krakowem zżył się śp. Kolosvary i pokochał gród wawelski całą duszą. Pozostawił mu też trwałą pamiątkę po sobie przez zbudowanie podkopu kolejowego w ulicy Lubicz, będącego ozdobą naszego miasta. Podczas pogrzebu śp. Kolosvary'ego, most kolejowy nad ul. Lubicz przybrano w żałobne, oświetlone festony i emblemata kolejowe. Na torze stało 6 lokomotyw, zionących słupami czarnego dymu, a smętny gwizd maszyn żegnał zasłużonego kolejarza, którego zwłoki nieśli na ramionach podurzędnicy, otoczeni kolejarzami z Krakowa i delegatami z linii; tłumy publiczności w pochodzie świadczyły o popularności nieboszczyka, którego portret dziś zamieszczamy.

Tysiąc pięćset trupów pod ziemią.

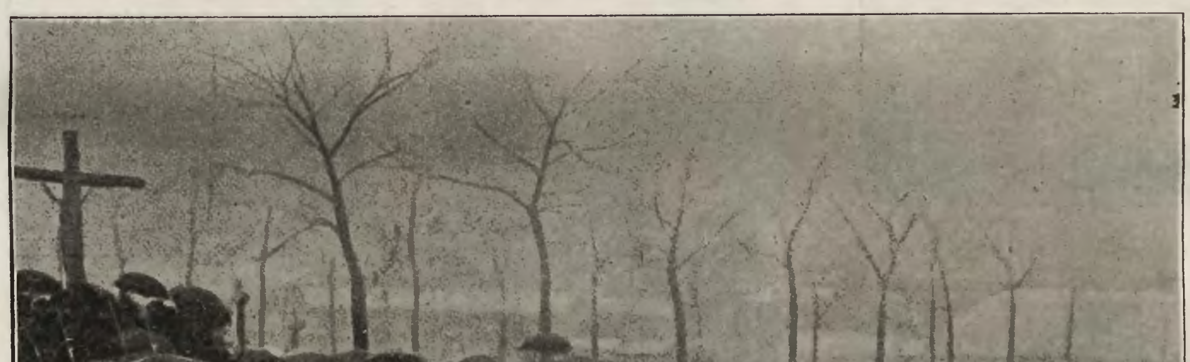
W ubiegłym tygodniu przyniosły telegramy wiadomość o strasznej katastrofie we francuskiej kopalni węgla w Courrieres, wiadomość, która dreszczem przejąć musiała każdego. W głębiach ziemi, w ciemnych chodnikach i kuratarzach kopalni w Courrieres straciło życie blisko 1.500 ludzi! Cyfra to straszna, boć przecie w większej bitwie w wojnie współczesnej tylu ludzi życia nie traci. Opowiadania tych, którzy z tej żywiołowej katastrofy wyszli z życiem, a była ich jeno mała garstka, tchną taką grozą, że czytając je, nie można się oprzeć najżywszemu wrażeniu współczucia i żalu za nieszczęśliwymi.



1.500 trupów pod ziemią: Olbrzymia katastrofa w kopalni węgla w Courrieres: Przed wejściem do szybu nr. 2. zwożenie trumien dla ofiar.

Przyczyną żywiołowej katastrofy w Courrieres był pożar, który wybuchł w nocy w szybie nr. 3 w głębokości 280 metrów. Ogień tlił się tam już od kilku dni, ale zawsze sądzono, że się da ugasić. Tymczasem właśnie w nocy z piątku na sobotę nagle się rozszerzył, a dostawszy się do gazów, które gdzieś w pokładach były zawarte, spowodował gwałtowną eksplozyę. Pęd powietrza zagnał płomienie do szybów sąsiednich nr. 4 i 2.

Było to o godzinie pół do siódmej rano. W 2 minuty po eksplozyi wyszło z szybu 11 i 4, kilku górników, którzy ledwie się wyczołgali po drabinach, bo trujące gazy oszołomiły ich zupełnie. Oni pierwsi przynieśli wieść o katastrofie. Wieść ta lotem błyskawicy rozbiegła się po całej osadzie. Ze wszystkich stron zbiegały się ku kopalni oszalałe prawie z trwogi i rozpaczy kobiety. Jęki, płacze i rozdzierające serce krzyki dzieci rozlegały się przed kopalnią, w której ponurych czeluściach ginęli ich ojcowie i bracia. Zakrzątnięto się około akcyi ratunkowej, ale okazało się, że wszystkie kosze zjazdowe były popsute, i że do kopalni można się było dostać jedynie koszem w szybie nr. 4. Zresztą pożar rozszerzał się z taką siłą i szybkością, że w południe dostęp do wszystkich pra-



1.500 trupów pod ziemią: Olbrzymia katastrofa w kopalni węgla w Courrieres: pogrzeb ofiar; spuszczanie trumien do wspólnego grobu.

wie szybów był z powodu trującego powietrza i gorąca od pożaru zupełnie niemożliwy. Mimo to wśród robotników byli bohaterzy, którzy odważyli się zjechać na dół. Ginęli, ale z każdej ekspedycyi wyszło kilku z nich cało i co chwila wynoszono na powierzchnię ziemi wydarte śmierci nieszczęśliwe ofiary katastrofy.

Wnętrze kopalni, według opowiadania inżyniera Leona, który w sobotę wieczorem zjechał w głąb, przedstawiało straszny obraz. Wśród ogromnego rumowiska i chaosu połamanych belek, leżały trupy ludzi i koni, spalone, poszarpane do niepoznania. Z tej masy wydobywał się od czasu do czasu jęk, lub ostatnie westchnienie konających. I takie obrazy spotykało się co krok. Ratunek był niemożliwy, bo groził śmiercią ratującym. W ciemnych chodnikach kopalni, do których nigdy słońce nie dochodzi, wśród mroku i gryzącego dymu rozpoczęła swoje panowanie wszechwładna śmierć, zbierając plony obfite, bo 1500 istnień ludzkich, wydartych rodzinom i społeczeństwu.

Główną winę w tym wypadku ponosi zarząd kopalni w Courrieres. Urządzenia w kopalni były przestarzałe, nie miano zupełnie najpotrzebiejszych przy akcyi ratunkowej przyrządów, czego dowodem jest choćby ten fakt, że aby módz wedrzeć się do kopalni, trzeba było sprowadzić aż niemiecki oddział ratunkowy z kopalni „Hiberni“ w Westfalii z przyrządami do oddechania.

Na miejsce katastrofy zjechał w niedzielę minister spraw wewnętrznych, który był naocznym świadkiem rozdzierających serce scen, jakie się działy przed kopalnią. Czy jednak obecność jego przyczyniła się do ukojenia wzburzonych grozą wypadku umysłów, czy zdołała złagodzić ból żon, matek, sióstr i dzieci nieszczęśliwych ofiar katastrofy, wynikłej z żywiołową siłą, wobec godnej napiętnowania gospodarki zarządu kopalni — nie wiadomo. Courrieres zamieniło się w ciągu kilku godzin w olbrzymie cmentarzysko, a trudno koić bóle na cmentarzu przy ciepłych jeszcze trupach. — Fotografie nasze lepiej od słów dają pojęcie o chwilach żałoby po katastrofie w Courrieres.



1.500 trupów pod ziemią: Niemiecki oddział ratunkowy z kopalń westfalskich, przybyły po katastrofie do Courrieres.



I. Solska w roli Miecznikowej.



Sulima, jako Sylwia Szolc.



M. Tarasiewicz, jako Kajetan Węgierski.



L. Solski w roli księcia Radziwiłła.



Wiślański w roli brygadyera Niemcewicza.

Tragikomedya starościca Węgierskiego: Główne postaci w nowej sztuce Nowaczyńskiego „Starościc ukarany“ na scenie krakowskiej.

Tragikomedya starościca Węgierskiego.

Autor „Dyabła łańcuckiego“ wystąpił z nową sztuką, wystawioną w poprzednią sobotę na scenie krakowskiej. Tym razem tłem dramatu, a raczej tragikomedyi, jak utwór nazwał sam autor, jest schyłek wieku XVIII. Widzimy Warszawę, słyszymy co chwila rozmowy o „Stasiu“ i o jego czwartkowych obiadach; przez scenę przewijają się śliczne kostyumy dam, barwne fraki i peruki, zdaje się, że mamy przed sobą mały Paryż, o którym wszyscy mówią i do którego wszyscy wzdychają — jednem słowem, wierny obraz epoki, poprzedzającej upadek. A z pośród tego tła wybija się postać Kajetana Węgierskiego, postać conajmniej niecodzienna, choć niejednolita i bez nadzwyczajnych zalet. Obok niego odbija jaskrawo od całej tej „francuszczyzny“ książe wojewoda wileński Panie Kochanku z swym nieodłącznym, gruboskórnym Mikuciem. Zresztą same porcelanowe figurki...

Wartość „Ukaranego starościca“ leży w tem, że autor wczuł się i odczuł doskonale tak złożoną i trudną do ujęcia epokę, jak owe końcowe lata panowania Stanisława Augusta. Nowaczyński ma tę dziwną intuicyę, która mu pozwala wgłębić się w ducha czasu i kilkoma śmiałemi liniami zarysować epokę barwnie i wyraziście. Doskonale mu przytem pomaga znajomość języka, jaką się nie każdy literat polski w tym stopniu może pochwalić. Język jest zawsze kunsztowny, cięty, jędrny, dowcipny, w miarę zgrzytliwy i pogodny. Jednolitej akcyi brak we wszystkich historycznych dramatach Nowaczyńskiego, brak jej więc i w „Starościcu ukaranym“. Ale za to poszczególne sceny wspaniałe, wycieniowane, postacie pojedyncze wysubtelnione w rysunku.

„Starościc ukarany“ dał artystom duże pole do popisu, dyrekcya zaś oprawiła sztukę w odpowiednie ramy stylowych kostyumów i dekoracyj. To też p. Solski, jako książę Radziwiłł Panie Kochanku, p. Solska, jako pani Miecznikowa, p. Tarasiewicz w roli Kajetana Węgierskiego, pna Sulima, jako Sylwia Szolc, pp. Wiślański, Jednowski, Zelwerowicz, Arkawinówna, Osterwa, święcili tryumfy.

* * *

Zamieszczamy obok fotograficzne zdjęcia pięciu głównych osób z „Starościca ukaranego“. Już na fotografiach można widzieć wdzięk i stylowość toalet i figur artystek i artystów. Sztuka ma zapewnione powodzenie, a w dorobku literackim Nowaczyńskiego jest pewnym krokiem naprzód.

Roman Statkowski.

Twórczość muzyczna polska, wskutek trudnych warunków rozwoju i w braku poparcia ze strony społeczeństwa — ograniczać się musi drobnymi formami. Mamy tedy sporo utworów z zakresu kompozycyi tanecznych, pieśni, kompozycyj na fortepian i inne instrumenta solowe, utwory chóralne itd., gdy mało posiadamy natomiast dzieł zakreślonych na większą skalę, jak uwertury, symfonie, oratorya i opery. Wskutek tej smutnej prawdy, że Polska rozporządza tylko dwiema scenami, na których można by wystawiać dzieła naszych twórców — i smutniejszej jeszcze prawdy, że dotąd obie te sceny dziwnym zbiegiem okoliczności dostają się do rąk lekceważących twórczość rodzimą, wystawienie polskiej opery jest zdarzeniem trafiającem się to tu, to ówdzie raz na rok. Doszło do tego, że nawet takiemu mistrzowi, jak Żeleński, trudno dziś wystawić nową operę (Stara baśń) — dzieło piękne, mimo sędziwych lat autora świeże, polotu pełne i w polskim dorobku kulturno-muzycznem poważne. To też za szczęśliwego może być uważany p. Roman Statkowski, iż jego dzieło, wspaniałą operę „Marya“, wystawiono w Warszawie, choć, jak to niemal jednogłośnie twierdzi fachowa prasa warszawska, wystawiono je nie z tą okazałością i nie z tem staraniem, na jakie ono swą niepowszednią wartością zasłużyło. Treść opery zaczerpnięta z „Maryi“ Malczewskiego; muzyka według jednozgodnego zdania znawców, pełna niepospolitej wartości.

Wobec tego, iż imię twórcy opery „Maryi“ mogłoby być mniej znanem szerokim kołom naszych Czytelników, podajemy wraz z portretem krótki życiorys tego utalentowanego muzyka.

Roman Adam Statkowski pochodzi z Kaliskiego (ur. 24/12 1859); zdolności twórcze objawił w bardzo młodym wieku, lecz dopiero w 18 roku życia zaczął zapoznawać się z teoretyczną stroną muzyki. Pierwszym mistrzem w tej dziedzinie był mu



Roman Statkowski.

Żeleński. Niestety, wyjazd Żeleńskiego z Warszawy do Krakowa (r. 1881) spowodował przerwę w studyach młodego muzyka, który pragnąc rozszerzyć zakres swej wiedzy, zapisał się na wydział prawniczy uniwersytetu warszawskiego, nie tyle dla karyery urzędniczej, ile raczej dla wykształcenia ogólnego. Potrzeba ściślejszego dozoru nad majątkiem, którego interesa koncentrowały się w Petersburgu, zniewoliła Statkowskiego do prowadzenia dalszych studyów nad kompozycyą nie na Zachodzie, jak pierwotnie zamierzał, lecz w Petersburgu. W tamtejszem tedy konserwatoryum dokształcił się ostatecznie Statkowski pod kierunkiem prof. Sołowiewa, korzystając jednocześnie ze wskazówek ówczesnego dyrektora tej uczelni, Antoniego Rubinsteina.

Pierwsze utwory Statkowskiego pojawiły się w druku w r. 1884, późniejsze dopiero w r. 1893. Do tych ostatnich należy szereg kompozycyj na fortepian, skrzypce z tow. fortep. i kwartet smyczkowy (op. 10). — W r. 1897 powstała opera „Filenis“, wystawiona przez teatr warszawski w 7 lat później, t. j. dopiero wówczas, kiedy dzieło to zostało odznaczone pierwszą nagrodą na międzynarodowym konkursie londyńskim w lipcu 1903. — Druga z kolei opera „Marya“ napisaną została w ciągu zimy 1904. — Pomiędzy pierwszem a drugiem dziełem operowem powstało kilka zeszytów kompozycyj fortepianowych oraz „Fantazya polska“ na orkiestrę. (Op. 25).

Od r. 1890 przemieszkiwał Statkowski kolejno w Kijowie, na wsi na Wołyniu, następnie w Berlinie, w Moskwie i Petersburgu. — Od roku przeszło zajmuje stanowisko profesora historyi muzyki tudzież instrumentacyi w warszawskim Instytucie muzycznym. — *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

30 Ciąg dalszy.

W tej samej chwili wszedł do pokoju komisarz Bermann. Spojrzał na Albertynę i dał Helenie znak, żeby go nie zdradziła, a potem skłonił się grzecznie obu paniom i nie zatrzymywał ich wcale, gdy zabrały się do odejścia.

Zaledwie drzwi zamknęły się za niemi, Archer krzyknął z uniesieniem do komisarza:

— Jesteśmy u celu! Morderca Parker przebywa tu, w tym domu!

Bermann zrobił niedowierzającą minę, ale Amerykanin z całą stanowczością zapewnił go, że w rzekomym doktorze Reissnerze z Chicago poznał mimo fałszywej brody i peruki, Parkera.

— W takim razie za jednym zamachem będziemy mieli całe towarzystwo w swych rękach — uśmiechnął się komisarz — to ja znowu przywiozłem z Hamburga taką małą niespodziankę, która zapewne nie zrobi wiele przyjemności ani doktorowi Harrasowi, ani też panu Franciszkowi Springerowi! Jestem chyba najnieudolniejszym człowiekiem na świecie, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie będę miał całej tej bandy pod kluczem!...

Nagroda i kara.

W malutkim pokoiku, który stanowił prywatną kancelaryę adwokata Harrasa, panowała bardzo duszna atmosfera. Naprzeciwko doktora i jego przyjaciela pana Franciszka Springera, siedział ów brunet w ciemnych okularach, który zajechał do hotelu „pod złotym lwem“, a rozmowa, jaka się między nimi toczyła, nie mogła liczyć się żadną miarą do zwykłych rozmów towarzyskich, lub kupieckich. W przyciszonych głosach uczestników tego posiedzenia brzmiało wzruszenie i oburzenie, a w twarzach ich przebijały się jak najpotworniejsze zbrodnie. Stosunkowo najwięcej spokoju okazywał przybysz z Chicago i widocznie on był tu panem sytuacyi.

I nic dziwnego! Z pewnej odległości pokazał swym przeciwnikom plik papierów, obwiązanych czerwoną wstążeczką i zaproponował im kupno ich, ale za bajońskie sumy. Przerażenie i zdumienie ogarnęło doktora Harrasa i Springera, a potem z ust ich sypnął się grad niezbyt doborowych epitetów, które skierowali przeciw swemu towarzyszowi. Ten jednak nie odpowiedział na nie równą monetą, lecz włożył spokojnie papiery do portfelu, portfel schował do kieszeni, zapiął surdut i po chwili ponowił swą ofertę, tylko już bardziej niecierpliwym tonem.

— To fałszerstwo jest wprost niesłychane! — zawołał adwokat — jeśli pan już sto razy za wszystkie swe postępki nie zasłużyłeś na kryminał, to wart go jesteś za tę czarną niewdzięczność wobec nas, swoich dobrodziejów, którym zawdzięczasz wszystko, wszystko, nawet wolność!...

Obcy wzruszył obojętnie ramionami i rzekł z bezwstydnym uśmiechem:

— Trudno, moi panowie! tak często fałszowałem w waszym interesie, że nie rozumiem, jak możecie mi brać za złe, że raz w swoim własnym spróbowałem tego talentu. Przyznacie też sami, że jestem bardzo skromny w wymaganiach; któżby mi bowiem zabronił żądać dwa, albo trzy razy tyle, albo po prostu wszystkiego, co macie?! Przecież ja mam was teraz w rękach!

Doktor zazgrzytał zębami, a Springer odezwał się pojednawczo:

— Słuchaj Bergmann, pozwól no rozsądnie pomówić ze sobą. Wiesz, że nie opuściliśmy cię jeszcze nigdy, gdyś był kiedy w przykrem położeniu! Oddaj mi więc te papiery i jak uczciwy człowiek powiedz, ile naprawdę potrzebujesz?

— Powiedziałem to już dwa razy i im dłużej każecie mi czekać, tem bardziej będę i tak śmiesznie niską cenę kupna podwyższał o parę tysięcy co parę minut!

— Ależ człowieku! twoja bezczelność przechodzi już wszelkie granice! — zakrzyczał doktor.

W tej samej chwili pisarz wszedł i oznajmił, że pan Müller chce pomówić z doktorem, a zanim adwokat wstał od biurka, anonsowany gość wszedł już do kancelaryi.

— Mój przyjaciel i wspólnik doktor Reissner z Chicago! — rzekł doktor Harras, przedstawiając przybyłemu bruneta i przysuwając mu krzesło. Komisarz skłonił się, ale równocześnie spojrzał badawczo na obcego. Widocznie jednak wynik tego krótkiego śledztwa musiał go zadowolić, bo uśmiechnął się wesoło i z humorem zwrócił się do Springera.

— Mam nadzieję, kochany panie Springer — rzekł z dobroduszną miną, że pan pozbędziesz się swego domu w ciągu godziny, choć pod trochę innymi warunkami, jak te, które mi postawiłeś. Właśnie bowiem dowiedziałem się, że ten dom nie jest i nie był nigdy pańską własnością, lecz należał do pańskiego brata, Rudolfa Springera, a ponieważ on zmarł, więc prawem spadku dom powinien dostać się jego córce. Pan z przyjemnością zapewne dowiesz się o tem i skwitujesz ze swych rzekomych praw do tej realności!...

Komisarz mówił to tak jowialnie, że w słuchaczach nie wzbudził wcale przestrachu, lecz tylko chwilowe zdumienie.

— Pan sobie z nas żartuje, panie Müller! — rzekł z uśmiechem Franciszek Springer — każde dziecko w tem mieście powie panu, że mój brat został wydziedziczony, a oprócz tego dobrowolnie sam zrzekł się wszystkich praw do spadku po ojcu!

— Naprawdę? Czy się pan tylko nie mylisz, panie Springer! Mój Boże, dokument każdy można przy pewnej wprawie sfałszować, a tam, gdzie chodzi o wielkie kapitały i świadka można znaleźć bez trudności!

Springer, Harras i nieznajomy zerwali się z swych krzeseł, spoglądając groźnie na komisarza, który siedział spokojnie dalej.

— Panie! — syknął adwokat — jak pan śmiesz rzucać nam w oczy takie oszczerstwo?!...

— Ależ proszę, poco to przedwczesne oburzenie, moi panowie! — ja chcę ten dom kupić od istotnego właściciela, więc tu i ówdzie zasięgnąłem informacyi, ale z wiarygodnych źródeł i dowiedziałem się ciekawszych jeszcze rzeczy, niż ta drobnostka, o której wspomniałem tylko mimochodem! O listach, sfałszowanych w imieniu panny Grety Najpert, które skłoniły Rudolfa Springera do opuszczenia miasta, nie będę nawet mówił; pominę milczeniem, skąd wzięły się te plotki, które rozpuszczono po wyjeździe pańskiego brata, panie Springer, a które poniekąd usprawiedliwiły to jego niby autentyczne i dobrowolne zrzeczenie się spadku! Ale, że skradną mu nawet te kapitały, których dorobił się w Ameryce i które z zaufaniem powierzył bratu, jako majątek swej jedynej córki...

Komisarz nie dokończył, bo jego ostatnie słowa miały piorunujący skutek. Franciszek Springer zbladł i zaczął się trząść jak w febrze. Adwokat, który umiał zapanować nad sobą, szukał w myśli jakiejś druzgocącej odpowiedzi i tylko rzekomy doktor chciał zrobić, co było najmądrzejszego, a mianowicie wynieść się cichaczem. Ale... zrobił rachunek bez gospodarza, bo komisarz zagrodził mu drogę i krzyknął podniesionym głosem:

— I to wszystko możnaby wam wybaczyć, ale tego, żeby tacy niby zacni i poważani ludzie posunęli się aż do morderstwa, tego nigdy nie spodziewałem się, tego nie daruję wam za nic w świecie!...

Teraz doktor Harras odzyskał mowę.

— To waryat, to szaleniec, ja go każę za drzwi wyrzucić!

— Bezwątpienia, że waryat — dorzucił rzekomy doktor, gwałtem usiłując prześliznąć się koło komisarza i umknąć, ale ten uchwycił go za rękę i przytrzymał, a równocześnie zdarł mu z głowy perukę i przyprawianą brodę.

(Dokończenie nastąpi).

Wielka Szarada z 5-ciu nagrodami!

Zamieszczamy w niniejszym numerze 5 zagadek, za których dobre rozwiązanie przeznaczamy **5 nagród.**

I. Nagroda: 12 butelek wina węgierskiego.
2. „ Olbrzymia szynka pragska.
3. „ Wspaniały tort orzechowy.
4. „ Duża bombonierka czekoladek.
5. „ Funt bardzo dobrej, prawdziwie rosyjskiej herbaty.

Nagrody te zostaną wylosowane z pośród tych Szan. PT. Czytelników którzy nadeślą rozwiązania najpóźniej do dnia 2 kwietnia br. Spis osób, które nadesłały rozwiązania i tych, którzy otrzymali nagrody, zamieścimy w numerze 14 „Nowości illustrowanych“ z dnia 7 kwietnia. Zaznaczamy jednakże, że o nagrodę ubiegać się mogą jedynie ci PT. Czytelnicy, którzy prenumerują „Nowości illustrowane“ wprost w centralnej Administracyi w Krakowie ul. Zacisze l. 7. I. p. — Sądzimy, że wspaniałe nagrody, wyznaczone za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek, a nadające się na święta, zachęcą jak najliczniejszych naszych Czytelników do nadsyłania rozwiązań.

Zagadki do nagrody.

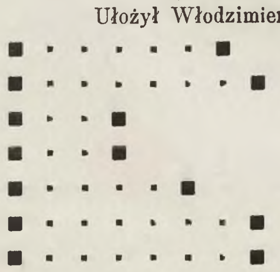
Szarada.

Ułożył Włodzimierz K.

Pierwsze—trzecie w każdej porze
Chętnie używacie.
Trzecie—piąte wszyscy może
W kartach wyszukacie.
Naród *pierwszy—drugi—piąty*
Ma dość animuszu...
Czwarty wspak i wprost piąty:
W „Panu Tadeuszu“.
Gdyby takich jak ów *cały*
Polska synów miała,
Toby znowu do swej chwały
Wkrótce zmartwychwstała.

Logogryf.

Ułożył Włodzimierz K.

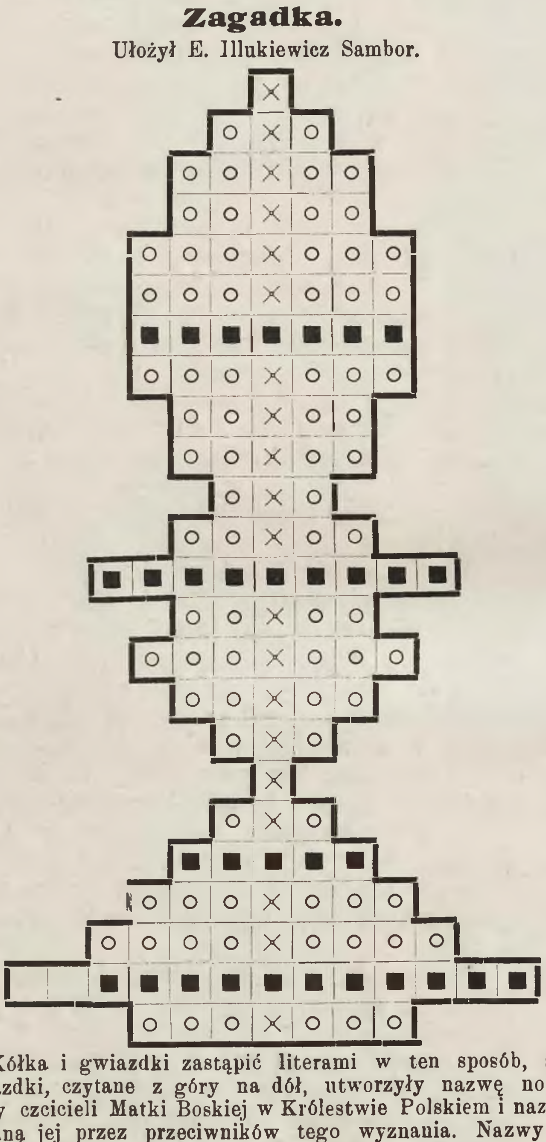


Wielkie i małe kropki zastąpić literami w ten sposób, aby utworzyły 8 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą nazwisko powieściopisarza polskiego, a litery końcowe, czytane z dołu do góry, tytuł jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2, Powieściopisarka polska, używająca pseudonimu Maskoff. 3. Słynny bajkopisarz grecki. 4. Napój wyrabiany z winogron. 5. Nadzwyczajna rzadkość. 6. Sławny tragik ateński, autor Antygony. 7. Zakon Braci mniejszych. 8. Piękna miejscowość koło Wiednia, letnia rezydencya cesarza.

Zagadka.

Ułożył E. Illukiewicz Sambor.

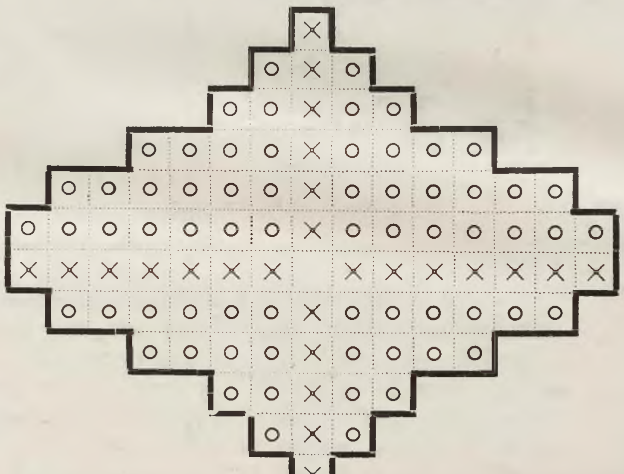


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę nowej sekty czcicieli Matki Boskiej w Królestwie Polskiem i nazwę, nadaną jej przez przeciwników tego wyznania. Nazwy te połączone są przez „albo“. Litery, oznaczone kropkami, dadzą imię, nazwisko i przezwisko osoby, odgrywającej główną rolę w tej sekcie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię męskie. 3. 3. Miejscowość, w której zginął w bitwie król polski Władysław Warneńczyk. 4. Przyrząd do palenia tytoniu. 5. Jedna z wysp Antylskich na zachodniem wybrzeżu Ameryki. 6. Maszyna rolnicza do siania. 7. Imię żeńskie. 8. Człowiek, który ciągle płacze. 9. Zwierzę, uchodzące za symbol głupoty. 10. Dopływ Wisły w Galicyi. 11. Imię tureckie, oznaczające także godność. 12. Inaczej duchowny żydowski. 13. Nazwisko kobiety, która odegrała główną rolę w dziejach nowej sekty w Królestwie Polskiem. 14. Zwierzę przedpotopowe. 15. Kraina, opiewana przez Zaleskiego. 16. Inaczej armata. 17. Słynny generał japoński. 18. Samogłoska. 19. Rzeka w Niemczech. 20. Tytuł prześlicznej noweli Sewera. 21. Krzew rosnący na górach. 22. Imię męskie. 23. Książę piekieł (użyć trzeba w drugim przypadku liczby pojedynczej). 24. Miasto w Palestynie, słynne zdobyciem go przez Mojżesza.

Kryptogryf.

Ułożyła Br. Michniowska, Pakoszówka.



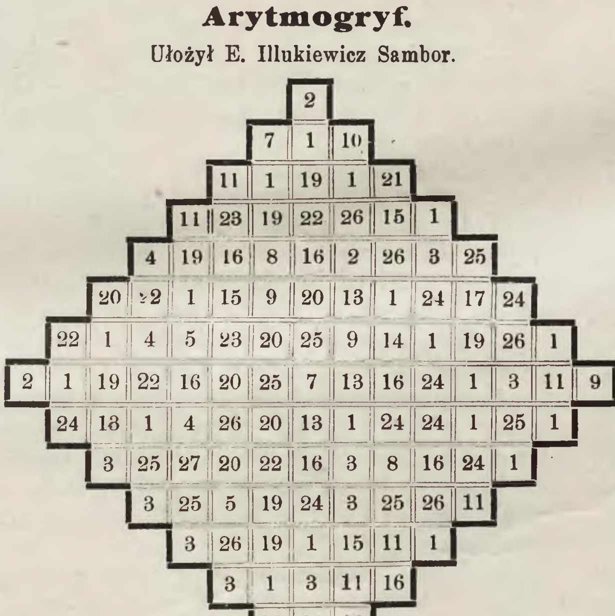
Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w kierunku pionowym, dały imię i nazwisko współczesnego poety polskiego, a gwiazdki, czytane w kierunku poziomym — tytuł jego utworu, granego z niebywałem powodzeniem na scenie krakowskiej w ubiegłym karnawale.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ryba. 3. Część buta. 4. Miasto w Galicyi. 5. Dwie rzeki w Galicyi, wpadające do Wisły, o podobnem brzmieniu. 6. Część świata i wielkie w niej miasto. 7. Utwór poety, o którym mowa. 8. Imię żeńskie i męskie. 9. Miasto w Galicyi. 10. Inaczej członek rady gminnej. 11. Rzeka w Niemczech. 12 Spółgłoska.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, an, be, cas, chów, dny, dry, em, hen, ka, ka, l, l, lia, me, no, ob, pol, ra, ren, ro, ry, ry, ryk, skie, sło, słok, sta, sum, sącz, tle, wi, wi, wy, york, za.

Arytmogryf.

Ułożył E. Illukiewicz Sambor.



W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły imię i nazwisko chłopa-bohatera polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej mały lasek. 3. Rybka. 4. Inaczej zasłona, zwłaszcza w teatrze. 5. Miasto w Galicyi wschodniej, słynne z przemysłu naftowego. 6. Większe miasto w Galicyi wschodniej. 7. Imię męskie i żeńskie połączone przez „i“. 8. ?. 9. Imię i ród króla polskiego, panującego w XVII. stuleciu. 10. Miasto w Małopolsce, słynne cudownym obrazem Matki Boskiej. 11. Owad podobny do chrząszcza, jeno trochę mniejszy. 12. Odmiana dzikich kaczek. 13. Inaczej zdrobniale piękna rzecz. 14. Narząd wzroku. 15. Samogłoska.

Rozwiązanie zagadek z Nru 10.

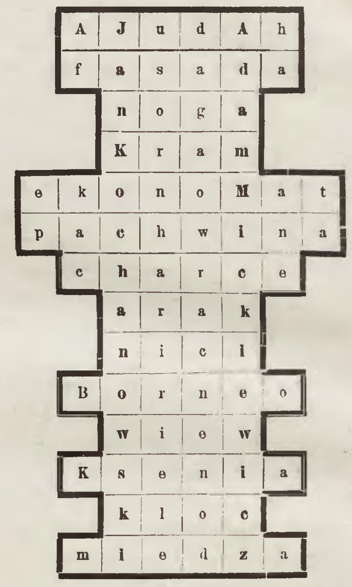
Szarada.

Myśliwy.

ZAGADKA.

Wojna z Kościołem we Francyi.

Kryptogryf.



Jan Kochanowski — Adam Mickiewicz.

Logogryf.

Fili**p**, **e**ldorad**o**, **J**ampo**l**, **E**br**o**, **R**ohaty**n**, **V**idran**y** **A**lfier**i**, **r**opuch**a**, **Y**per**n**, **T**eobal**d**, **i**mperato**r**, **S**tyk**a**, **Z**akyntho**s**, **A**lcybiade**s**, **B**onifac**y**, **A**nkon**a**, **n**asy**p**, **f**ilantro**p**, **F**err**o**, **Y**psylo**n**, **k**azamat**y**, **O**gińsk**i**, **S**osnowie**c**, **S**ofokle**s**, **u**mywalni**a**, **T**ure**k**, **h**omar**y**, **U**chtomski**j**, **g**n**u**, **R**abelai**s** **o**rnamen**t**, **n**ieposłuc**h**.

Fejervary, Tisza, Banffy, Kossuth, Ugron, Polonyi. Andrassy, Apponyi, Csaky, Justh.

Arytmogryf.

Oda do młodości.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Inż. Niebieszczański Halicz, F. Jeleński Nowy Targ, K. Fuchs Peczeniżyn, W. Czerkawski Dolina, T. Domain Sanok, J. Bojuk Bełz, Siła Nowiccy Sokal, M. Arbesbauer Lwów, Bl. Pieterkiewiczowa Czerniowce, B. Ramułtowa Jeżów, J. Czechowicz Mikołajów, J. Robak Kraków, J. Sulkowski Kraków, I. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowizz Kraków, J. Zuckermann Dąbrowa Mania Fenichel Dąbrowa, Wł. Dobrowolski Mościska, S. Zoellner Rozwadów, Z. Ehrenberg Kraków, ks. M. Sztyrak Złoczów, M. Radlmesser Swoszowice, Z. Żukiewicz Sambor, Stasia Smalawska Stare Sioło, Wł. Karatnicki Worochta, F. Kulesza Kraków, A. Miłkowski Bełz, H. Szczerbowa Majdan, M. Ochocka Kalinowszczyzna, K. Jasiński Sambor, St. Waśniewski Kosów, L. Seimówna Kraków, J. Lipińska Okno, K. Bobek Kraków, M. Weimerowa Sącz, J. Jaroszkówna Sącz, N. Auerówna Podgórze, O. Piotrowska Kraków, Z. Kamyk-Kraków, B. Klemensiewicz Kraków, M. Gałuszkiewicz Wiedeń, H. Karatnicka Nadwórna, W. Cellerin Busk, Kasyno Uhnów, E. Füllerówna Rzeszów, J. M. Żankowski Popielniki, E. Nowak Wysoczanka, K. Niewiadomska Jasionów, J. Niewiarowska Kraków, Stowarzyszenie ręk. „Gwiazda“ Złoczów, J. Kowal Dębica, H. Mokrzycka Turbia, F. Swaczyński Przemyślany, St. Palczewski Felsztyn, W. Czaczka Rzeszów, W. Czechowski Tarnów, St. Dobrzyniecki Stanisławów, K. Markowski Zwiniacz, Żerlak Trzebinia, K. Chodkiewicz Zbydniów, A. Wiśniowski Sulimów, E. Bogdalska Koropuż, J. Dobrzańska Kołomyja, Fr. Kalita Gawłuszowice, Br. Krzaklewski Kahujów, A. St. Bassara Niwiska, K. Radwański Nowy Sącz, Kuszpeciński Kraków, H. Zielińska Manajów, Wł. Kisielewski Stryj, Ks. Suski Brzezie, St. Szwabowicz Żurawno, S. Dydacka Żurawno, S. Suchomel Tartarów, M. Zintlowa Brody, M. Bossowska Bistoszowa, K. Weinarówna Przemyśl, Drzymalik Bobrówka, J. Badura Rożdzień, K. Jurkiewicz Tłumacz, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, Jarzyński Warszawa, Wł. Nowiccy Wiśnicz, E. Byszewski Kraków, M. Szulcowa Kraków, A. Surowiecki Kraków, St. Wysocka Dąbrowa, Halka Leligdowicz Fraga, A. Pukalski Andrychów. W. Remiszewski Załawie, W. Bandurska Nowy Sącz, J. Bielawski Brzeżany, E. Mrożeński Mosty Wielkie, I. Blumenfeld Kraków, M. Kroo Kraków, H. Ulrych Malin, St. Laszkiewicz Dębica, M. Zacharska Kraków, Stow. „Gwiazda“ Rzeszów, Wł. Hałdziński Lichwin, A. Mussil Lwów, E. Kawiński Pruchnik, A. Batko Lwów, W. Stanula Samocice, J. W. Kaczarowski Sanok, Dr. L. Blumenblatt Tyśmienica, A. Krokoszyński Lwów, L. Zborowski Lwów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Kaczarowski Sanok, A. Miesesówna Przemyśl, Al. Bocsoń Bóbrka, M. Cetera Dubiecko, St. Kozłowski Lubaczów, A. Zimer Mikulińce, Marylka Śniegocka Zakopane, St. Gajdeczka Sieniawa, W. Źralski Podgórze, St. Grodeccy Leżajsk, A. Kwieciński Woźniczna, L. Proszowska Warszawa, M. Oberska Grzegórzki, K. Chlostawa Albigowa, K. Chmielowski Kraków, J. Duszyński Bochnia, M. Rożankowski Krynica, H. Plechawska Stanisławów, J. Haładej Górki, C. Głębocki Kraków, J. Kobylański Honiatycze, J. Biegoń Sucha, A. Waranka Kocmań, B. Rutkowska Dąbrowa, J. Sarama Milówka. H. Doening Schodnica, M. Rożański Gorlice, J Świerczewska Lwów, G. Krasuski Winniki, J. Kolbusy Wadowice, B. Meszyński Drohobycz, A. Macherska Częstochowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **Blanka Pieterkiewiczowa w Czerniowcach.** Prosimy o nadesłanie 72, halerzy na koszta przesyłki.